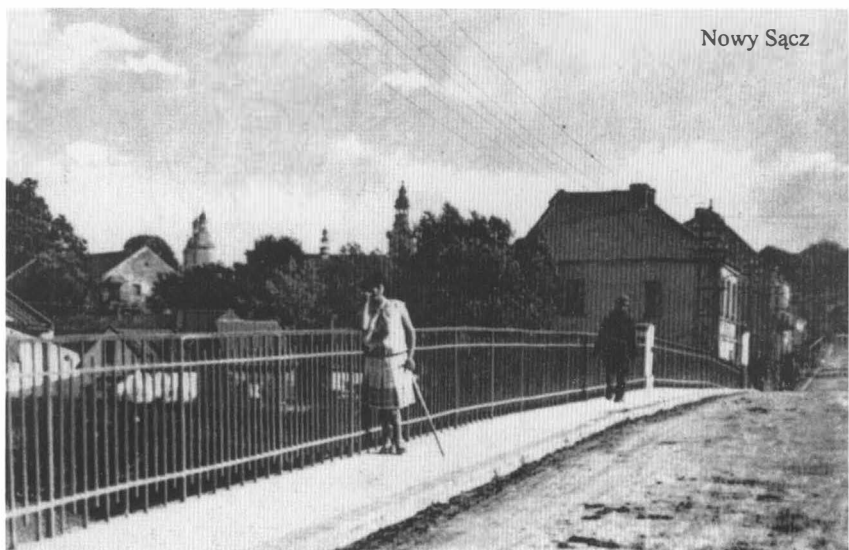


ALMANACH SĄDECKI



R. XVII
NR 1/2 (62/63)





Katolickie Stowarzyszenie

„Civitas Christiana”

Oddział w Nowym Sączu

ALMANACH SĄDECKI

R. XVII NR 1/2 (62/63)

Sądecka Biblioteka Publiczna



REGION



Nowy Sącz 2008

Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia
„Civitas Christiana” w Nowym Sączu
33-300 Nowy Sącz
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3
tel. (018) 443 81 52



Publikacja dotowana przez Urząd Miasta Nowego Sączu
oraz Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu

Redakcja: Leszek Migrała – redaktor naczelny
Stanisław Korusiewicz, Stanisław Pażucha,
Edward Storch, Robert A. Ślusarek, Zbigniew Wolanin,
Leszek Zakrzewski – sekretarz redakcji

Rysunki
na okładkach: Dwór w Marcinkowicach,
Odcisk pieczęci gromady Marcinkowice, rys. E. Storch

Skład
komputerowy: Wydawnictwo „Koliber”
Nowy Sącz, tel. 018 444 24 16

Druk: FLEXERGIS
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. 018 444 33 44

KRÓTKA HISTORIA OBRAZU I KULT MATKI BOSKIEJ POCIESZENIA W JEZUICKIM KOŚCIELE P.W. DUCHA ŚWIĘTEGO W NOWYM SĄCZU

Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia w Nowym Sączu to jedno z najstarszych miejsc kultu maryjnego na Sądecczyźnie. Cześć oddawana Bożej Rodzicielce przy dawnym norbertańskim opactwie Świętego Ducha sięga odległych czasów i potwierdzona została w najstarszych dokumentach miejskich. Już w 1486 r. odnotowano w Aktach Grodzkich pierwszą wzmiankę o datku złożonym przez jedną z mieszczanek „na nowy obraz Panny Marii”. Fakt ten świadczy o istnieniu nieznanego malowidła przedstawiającego Matkę Boską z Dzieciątkiem jeszcze przed 1570 r., zanim obecny obraz został przekazany zakonnikom reguły św. Augustyna w Nowym Sączu.

Znajdujący się obecnie w ołtarzu głównym kościoła Jezuitów wizerunek powstał w jednej z pracowni malarskiej na terenie Małopolski – jak już wspomniano wyżej – w 2. poł. XVI w. Jest on wykonany w technice temperowej na lipowej tablicy o wymiarach 200 x 120 cm, którego górna krawędź zaokrągla się półkolisto. Obraz przedstawia Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus. Maria wyobrażona jest w pozycji tronuującej, frontalnie, z głową lekko zwróconą ku Dzieciństwu, które trzyma na lewej ręce, podczas gdy w prawej dzierży berło. Dzieciątko prawą rączką błogosławi, zaś lewą podtrzymuje na kolanach kulę świata zwieńczoną krzyżykiem. Zarówno Matka, jak i jej Syn mają na głowach korony wysadzone klejnotami. Odziani w kosztowne



szaty pozostają jakby w niedostępnej przestrzeni nieba, symbolizowanego w tym przypadku złotym plastycznie opracowanym tłem. Fundatorką tego dzieła miała być Zofia, córka Wawrzyńca Spytki Jordana, kasztelana krakowskiego i sądeckiego, która w 1569 r. wyszła za mąż za Samuela Zborowskiego. Umieszczony na sukni Marii – w prawym dolnym rogu kompozycji – herb Trąby, jednoznacznie wskazuje na postać Zofii Jordanówny z Zakliczyna, określając przy tym jej stan cywilny: „ZIDZ”. Wynika z tego, iż ów wyjątkowy dar mógł powstać na krótko przed 1569 r., a co za tym idzie przed zamążpójściem ofiarodawczyni.

O czci oddawanej temu wizerunkowi dowiadujemy się w kontekście pożaru z 1611 r., który strawił znaczną część miasta, nie naruszając zabudowań kościoła i klasztoru Norbertanów. To cudowne ocalenie majątku zakonnego miejscowa ludność przypisała wstawiennictwu i opiece Marii, obecnej na obrazie „księży świętoduskich” – bo tak niegdyś nazywano sądeckich norbertanów (premonstratensów).

Kolejnym ważnym wydarzeniem w dziejach tego wizerunku było erygowanie przy kościele Świętego Ducha w 1633 r. przez augustianów krakowskich bractwa paskowego, któremu patronować miała Pocieszycielka strapionych. Do stowarzyszenia tego należeli głównie rzemieślnicy cechów zajmujących się wyrobami ze skóry – szewcy, kaletnicy, siodlarze. Ustanowiono wtedy odpust obchodzony w najbliższą niedzielę po święcie św. Augustyna, tj. po 28 sierpnia. Jest więc rzeczą oczywistą, że podejmowane wówczas inicjatywy miały zasadniczy wpływ na szerzenie się kultu Matki Boskiej Pocieszenia zarówno w mieście, jak i w jego okolicy. W świetle lektury źródeł, można stwierdzić, iż w przeciągu XV–XVIII stulecia kult taki rozwijał w kolegiacie św. Małgorzaty i na krążgankach w pobliskim klasztorze minorytów – franciszkanów. Z czasem wyszedł poza granice terytorialne Nowego Sącza i znany jest nam dzisiaj w postaci kopii rozpowszechnianych w ziemi sądeckiej, znajdujących się w kościołach parafialnych w Siedlcach, Kaninie, Zawadzie, ale także poza granicami kraju, np. w odnalezionym niedawno kościele w Ercsi na Węgrzech.

Augustiański ślad szerzenia nabożeństwa do Matki Bożej Pocieszenia odnajdujemy w analogicznym kulcie, lecz o wiele starszym, praktykowanym na krążgankach klasztoru Augustianów na Kazimierzu w Krakowie. To właśnie krakowscy eremici reguły św. Augustyna przeszczepili ów kult do kościoła Świętego Ducha w Nowym Sączu. Nie dokonałoby się to bez aprobaty opata norbertańskiego w Nowym Sączu. Nie bez znaczenia, pozostają również więzi łączące ten zakon z rodem Jordanów z Zakliczyna,

którego wybitni przedstawiciele spoczywają w kryptach kościoła konwencyjnego p.w. św. Katarzyny w Krakowie. Wiemy także, iż na przełomie XVI i XVII w. przełożonym klasztoru nowosądeckiego był opat Zygmunt Jordan – promotor odradzającego się w klasztorze kultu maryjnego – blisko spokrewniony z fundatorką obrazu.



Matka Boża Pocieszenia, XV w. – malowidło w krużgankach klasztoru Augustianów w Krakowie. Fot. Piotr Drożdżik

Po kasacie norbertanów w Nowym Sączu, która nastąpiła w 1784 r., znaczący wkład w przywrócenie świetności dawnego sanktuarium wnieśli jezuici, którzy w 1831 r. przybyli tu z Tyńca. Opustoszały kościół Świętego Ducha po przeszło 40 latach ciągłej dewastacji nie nadawał się do użytku. Wraz z rozpoczęciem prac restauracyjnych przy murach kościoła i klasztoru, przystąpiono do odnowy ołtarza głównego i łaskami słynącego obrazu, stanowiącego niejako duchowy załączek przyszłej odnowy religijnej w mieście. Być może to tu, przed obliczem Pani Ziemi Sądeckiej, odprawiono w lat trzydziestych XIX w. pierwsze w Polsce nabożeństwa majowe i odśpiewano znaną pieśń okolicznościową *Chwalcie łąki umajone*. Nabożeństwo to i kult Matki Boskiej Pocieszenia nabrały szczególnego nasilenia w fatalnym w swych skutkach roku rabacji galicyjskiej (1846), kiedy „wdowy i dzieci pozabijanych mężów i ojców w grubej żałobie garnęły się do pocieszycielki strapionych”. Należy w tym miejscu zaznaczyć, iż w tym czasie przebywał w kolegium sądeckim na studiach seminaryjnych znakomity kandydziej i poeta, a przede wszystkim czciciel maryjny Karol Antoniewicz. Na pewno niejedna z licznych pieśni religijnych Antoniewicza, takich jak: *Nie opuszczaj nas* czy też *Biedny kto Ciebie nie zna od powicia*, powstała właśnie u stop Matki Bożej Pocieszenia.

Żywym dowodem szerzącego się kultu Matki Boskiej w wizerunku sądeckim były też zakładane przez jezuitów sodaliczki mariańskie. Pierwsza sodaliczka powstała przy kościele Świętego Ducha w 1840 r. W jej skład początkowo wchodził uczniowie tutejszego gimnazjalnych. Z końcem XIX w. powstawały nowe, złożone z przedstawicieli różnych stanów. Niektóre z nich przetrwały aż do II wojny światowej.

Świadectwem czci oddawanej Matce Bożej Pocieszenia są także dary i wota ofiarowywane przez wiernych jako wyraz wdzięczności. Zachowały się trzy spisy ofiar i różnych kosztowności zamieszczone w kolejnych inwentarzach kościoła w latach 1781, 1848 i 1892.

Faktem, skrupulatnie odnotowanym w diariuszu rezydencji, była uroczystość związana z poświęceniem w dniu 1 sierpnia 1891 r. przez ordynariusza tarnowskiego bp. Ignacego Łobosa nowego ołtarza głównego i przyznania obrazowi Matki Boskiej Pocieszenia tytułu „łaskami słynącego”. W tym czasie złotnik krakowski Piotr Seipp ozdobił go nowymi koronami.

Kulminacyjnym punktem w dziejach naszego sanktuarium była koronacja papieskimi koronami cudownego wizerunku Bożej Rodzicielki, której dokonał w dniu 11 sierpnia 1963 r. przed kościołem w Zawadzie sam prymas Polski kard. Stefan Wyszyński. W akcie koronacyjnym uczestniczyło

ok. 300 tys. wiernych. W trakcie obrzędu obecnych było 700 kapłanów zakonnych i diecezjalnych, 17 biskupów przybyłych z całej Polski, na czele z ordynariuszem tarnowskim arcybiskupem Jerzym Ablewiczem i ówczesnym metropolitą krakowskim Karolem Wojtyłą, późniejszym papieżem Janem Pawłem II. Zgodnie z wolą papieża Jana XXIII odczytano w obecności zgromadzonego tłumu treść bulli przygotowanej na tą okoliczność jeszcze w 1962 r. z życzeniem, aby: „wierni tego miasta i całej diecezji tarnowskiej pobudzali się do coraz większej czci i miłości ku Matce Bożej”.

Ważniejsza literatura:

1. B.P. Siwiec, *Dzieje Arcybractwa Matki Boskiej Pocieszenia przy klasztorze oo. Augustianów w Krakowie (1604–1941)*, Kraków 2005.
2. Jan Preisner SI, *Jezuici w Nowym Sączu*, Kraków 2003.

Maria Marcinowska

O ZŁOWRÓŻBNYCH MALOWIDŁACH Z DWORU W NOWOSĄDECKIM SKANSENIE

Na wschodnich obrzeżach Nowego Sącza położony jest Sąddecki Park Etnograficzny. Wizyta w tym miejscu to wycieczka do odległych czasów naszych pradziadków, do dawnych domostw Lachów i Górali Sądeckich, Łemków i Pogórzan – grup etnograficznych do dziś zamieszkujących tereny Beskidów w pobliżu Nowego Sącza i Gorlic.



Dwór z Rdzawy k. Bochni

Można tu zobaczyć chaty bardzo biedne, nieco zamożniejsze i zagrody najbogatszych gospodarzy oraz dwór szlachecki, kościoły różnych wyznań, szkołę ludową, osadę cygańską i obiekty wiejskiego przemysłu (wiatraki, olejarnię, kuźnię). O każdym z tych obiektów przewodnicy w nowosądeckim skansenie opowiadają ciekawe historie, ale jedną z najciekawszych opowieści jest dość ponura i niesamowita legenda dworu szlacheckiego, przeniesionego do nowosądeckiego skansenu ze wsi Rdzawa koło Bochni (około 50 km od Krakowa).

Dwór w Rdzawie wybudowali dla siebie na początku XVII w. małżonkowie Stanisław i Elżbieta Baranowscy. Żyli szczęśliwie z dala od ludzkiego zgielku, w oddaleniu od głównych szlaków i wielkich miast. W modrzewiowym dworze urodziły się i wychowały ich dzieci, wśród nich pierworodny syn Staś, który imię odziedziczył po ojcu, jak to często bywało w dawnych polskich rodzinach szlacheckich. Staś nie musiał martwić się o swoją przyszłość, bo zamożni rodzice oprócz domu i majątku w Rdzawie posiadali jeszcze kilka innych wsi w okolicy, w których odbierali należne sobie świadczenia. Rodzina żyłaby więc spokojnie i dostatnio, gdyby nie siedemnastowieczne niepokoje i zawieruchy wojenne, których echa docierały także do leżącej na uboczu Rdzawy.

W połowie XVII w. wojska kozackie lub szwedzkie dotarły bardzo blisko, bo do oddalonej tylko o 5 km od Rdzawy Trzciany. W Trzcianie zniszczony został klasztor z kościołem tamtejszych zakonników – kanoników regularnych, którzy zostali bez dachu nad głową. Przeor konwentu zwrócił się wówczas do zamożnego pana Stanisława (dorosłego już wtedy syna państwa Baranowskich) o udzielenie schronienia w rdzawskim dworze. Dziedzic Rdzawy nie odmówił pomocy. Przeznaczył swój dom rodzinny na potrzeby zakonników na tak długo, jak to będzie konieczne, by odbudować zniszczoną siedzibę w Trzcianie. Sam przeniósł się ze swoją rodziną do innej ziemskiej posiadłości.

Po połowie XVII w. największa z dworskich komnat zastępowała kanonikom regularnym nieistniejący kościół, który mozolnie odbudowywano w Trzcianie. Modrzewiowe ściany tej komnaty pokryto wówczas malowidłami przedstawiającymi świętych najbardziej związanych z dziejami konwentu. Byli to św. Augustyn, św. Andrzej, św. Antoni Padewski i św. Ludwik, król francuski, uczestnik wypraw krzyżowych. Piąte wyobrażenie świętego zostało zniszczone w wyniku późniejszych przeobrażeń wnętrza.



Supraporta ze św. Antonim Padewskim

Kiedy udało się w ciągu kilku lat odbudować klasztor i kościół kanoników w Trzcianie, zakonnicy powrócili do swojej siedziby, ale ich przeor Sylwester tak upodobał sobie zaciszny dom w Rdzawie, że postanowił zostać tam do końca życia. I tak się też stało. Dopiero w 1703 r., po śmierci kanonika, powrócili do Rdzawy potomkowie rodziny Baranowskich.

Świeccy właściciele zaczęli od remontu dworu. Między innymi zatynkowali wtedy wyobrażenia świętych w wielkiej komnacie oraz malarską dekorację sakralną na ścianach sąsiedniego pomieszczenia, dawnej kaplicy domowej przeora Sylwestra – malowidła zniknęły pod warstwą tynku. Urządzili posiadłość dla potrzeb polskiej szlacheckiej rodziny z pokojem reprezentacyjnym, jadalnią, sypialniami na poddaszu i z pomieszczeniami dla służby. Chcąc podkreślić własną zamożność próbowali też sprostać panującym wówczas gustom i modzie. Wciąż wprowadzano przeobrażenia, dostawiano przybudówki, zmieniano funkcję pomieszczeń, wprowadzając nowe podziały i wnętrza. Chyba jednak efekt tych wszystkich prac w 2. poł. XVIII w. nie był zadowalający, bo w 1786 r. Baranowscy sprzedali dwór wraz z majątkiem rdzawskim Wesołowski, szlachcie spod Częstochowy.

Kolejne pokolenia rodziny Wesołowskich przeżyły w Rdzawie czasy zaborów, okres napoleoński, tzw. rzeź galicyjską, Wiosnę Ludów i I wojnę światową. Nastąpiła wreszcie niepodległa Polska w 1918 r. – wydawało się, że życie może być tylko coraz lepsze.

Tymczasem we dworze nie wszystko przebiegało szczęśliwie. Zawsze kiedy odpadł kawałek od tynkowanej ściany i widać było spod niego dawne malowidła – zdarzało się coś złego. Ktoś ciężko zachorował, ktoś umarł, zwierzęta dopadła zaraza, plony dotknęła susza lub gwałtowne gradobicie... W końcu poprawiono warstwę tynku, a w jednym miejscu ukryto pod tą warstwą drewnianą tabliczkę z napisem odnoszącym się do malowideł: „Nie odsłaniać. Przynoszą nieszczęście”. W roku 1945 rodzinę Wesołowskich wysiedlono z Rdzawy, a jej majątek rozparcelowano.

Kiedy w latach sześćdziesiątych XX w. prowadzono prace inwentaryzacyjne we dworze przed przeniesieniem go do nowosądeckiego skansenu, zapomniane polichromie ścienne znów widoczne były spod odpadających nawarstwień tynków i kolejnych przemalowań. W zagłębieniu modrzewiowej belki znaleziono deszczułkę z wyblakłym napisem sprzed lat, ale nikt nie potraktował poważnie ostrzeżenia, że oglądanie malowideł może przynieść nieszczęście.



Supraporta ze św. Andrzejem

Tymczasem niedługo po przeprowadzeniu prac konserwatorskich w dawnej komnacie-kościelnie kanoników wielu skłonnych było uwierzyć, że z malowidłami wiąże się jakieś fatum. Profesor czuwający nad renowacją zginął tragicznie, członkowie jego ekipy chorowali, jakiś pech zaczął prześladować wszystkich, którzy obejrżeli odsłonięte malunki. Być może dlatego długo nikt nie chciał naukowo opracowywać treści i formy rdzawskich polichromii.

W Sądeckim Parku Etnograficznym malowidła na ścianach dworu z Rdzawy można dziś oglądać w pełnej krasie. Przewodnicy muzealni przekonują, że klątwa nie działa w nowym miejscu, że została w rdzawskim parku. Na wszelki wypadek jednak radzą, żeby po obejrzeniu dworu wychodzić z niego tyłem – podobno wtedy żadne czary i przepowiednie nie działają. Znając ten prosty sposób odczyniania uroku można śmiało wybrać się do Sądeckiego Parku Etnograficznego i obejrzeć niezwykle interesujące sakralne polichromie ściennie powstałe po połowie XVII i na przełomie XVII i XVIII w.

Literatura i źródła

1. Maria Marcinowska, *Dwór pełen barw*, Nowy Sącz 1997.
2. Wywiady pracowników Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu z członkami rodziny Wesółowskich, Archiwum Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu.

DWÓR W MARCINKOWICACH I JEGO DAWNI WŁAŚCICIELE

Pierwszymi właścicielami wsi i dworu byli Marcinkowscy herbu Gryf. Po względem zamożności należeli do szlachty drobnej. Wiadomo, że do Przecława Marcinkowskiego należały (w części) Marcinkowice, Męcina, Chomranice, Krasne Potockie. W okresie potopu szwedzkiego Marcinkowscy opowiedzieli się po stronie króla polskiego, dlatego arianie z Dąbrowy i Szwedzi spalili ich dwór.

W 1559 r. w Marcinkowicach „na roli” osiadł na jakiś czas znany poeta i polityk Piotr Zbylitowski. W XVI w. niektórzy członkowie rodziny Marcinkowskich przyjęli arianizm, drudzy zaś przenieśli się na Ruś, w Lubelskie i Siedleckie. Na początku XVIII w. Teresa Marcinkowska wyszła za mąż za Antoniego Paszyca. Paszycowie założyli piękny park dworski, istniejący w części do dnia dzisiejszego.

Z tego okresu zachował się krótki opis dworu, w którym czytamy: „Dwór państwa Paszyców w Marcinkowicach był dość szczupły z wyjątkiem środkowej salki, w której był bilard, składał się z nader małych pokojów. A że był murowany, miał wielkie okna z framugami, woskowe posadzki i piękne meble mahoniowe, więc go za pałac uważano”.

W 1874 r. majątek w Marcinkowicach nabył od Bolesława Paszyca hrabia Adam Marase, doktor praw, potomek rodziny francuskiej, osiadłej w Polsce, właściciel Jurkowa. On to podarował gminie grunt i budulec na szkołę w Marcinkowicach. W 1890 r. kupił od niego majątek Albert Fauck – Niemiec przybyły do Galicji z Ameryki w celu poszukiwania ropy naftowej w Kłęczanach. Nowy właściciel dworu wykazał się rzutkością i ener-

gią – wprowadzał nowe maszyny wiertnicze, drukował artykuły na temat poszukiwań ropy w prasie krakowskiej i wiedeńskiej.

W 1914 r. dwór Faucka gościł w trakcie operacji limanowsko-lapanowskiej Józefa Piłsudskiego, które to zdarzenie Marszałek uwiecznił w *Moich pierwszych bojach*, napisanych podczas pobytu w niewoli w Magdeburgu, wzmiankując swój pobyt we dworze słowami: „A sam ze sztabem udałem się na posiłek, na który gościnni gospodarze zapraszali”.

Albert Fauck zmarł w 1919 r. i został pochowany w kamiennym grobowcu koło cmentarza legionistów. Jego synowie wyemigrowali

do Wiednia, sprzedając majątek w 1921 r. Stanisławowi Morawskiemu, absolwentowi Wydziału Rolnego na Uniwersytecie Jagiellońskim.



Szklanka mleka



Adam Morawski

Małżeństwo Morawskich (Stanisław i Olga) było właścicielem dworu do 1945 r. W 1921 r. gościł w nim ponownie Józef Piłsudski, który tym razem miał okazję dokończyć to, czego nie mógł zrobić w czasie pierwszego swojego pobytu, a mianowicie wypić szklankę mleka niedopitego ongiś z powodu rozpoczęcia się bitwy marcinkowickiej, podaną z rąk Marysi (sześcioletniej córki Morawskich). W 1936 r. dwór w Marcinkowicach odwiedzał z kolei Edward Rydz-Śmigły, a raport składał mu weteran postania stycziowego i oficer żuawów Adam Morawski.



Stanisław Morawski
dziedzic Marcinkowic

W okresie międzywojennym Morawscy zajmowali się szerzeniem kultury wśród mieszkańców (organizowali przedstawienia teatralne, uroczystości legionowe) i propagowaniem nowoczesnych metod gospodarowania (uprawa buraków cukrowych, sadownictwo).

W czasie II wojny światowej dwór udzielał schronienia konspiratorom z ruchu oporu, np. Janowi Karskiemu, kurierowi Władysława Sikorskiego i młodym podążającym na Zachód. Syn Morawskich – Jan – oficer Wojska Polskiego w 1939 r., zaangażowany w działalność konspiracyjną, był więziony m.in. w Tarnowie, Auschwitz i Buchenwaldzie. Po ukończeniu studiów prawniczych był adwokatem w Warszawie. Jego pragnieniem było spocząć po śmierci w rodzinnym grobowcu w Marcinkowicach, co stało się w 1995 r. Należy wspomnieć również,

że mecenas Morawski wzbogacił wydatnie muzeum legionowe w Marcinkowicach, przekazując tej instytucji wiele cennych eksponatów.



Maria



Jan

Po wojnie Morawscy utracili swój majątek w Marcinkowicach. Stanisław Morawski po wypędzeniu go z dworu uczył w miejscowej szkole rolniczej do 1950 r. i mieszkał we wsi. Potem pracował w żwirowni, prowadził również teatr amatorski. Żył w ciężkich warunkach. Zmarł w 1969 r. Olga, żona Stanisława, przeniosła się do Warszawy, gdzie zmarła w 1967 r. Wcześniej, w 1932 r., zmarła ich córka Marysia, wówczas siedemnastoletnia uczennica w nowosądeckim gimnazjum, ta sama która podała ongiś szklankę mleka Komendantowi Piłsudskiemu.

Kontakt z Marcinkowicami utrzymuje obecnie córka Jana – Małgorzata, oraz wnuczka Paulina.

Po wojnie w 1946 r. w Marcinkowicach na miejscu dworu powstała szkoła rolnicza, niezwykle zasłużona w dziele kształcenia zawodowego młodej,



Zofia



Olga Morawska

dzieży, jak również w kształtowaniu postaw patriotycznych, m.in. poprzez odnawianie cmentarza legionowego oraz angażowanie swoich wychowanków w działania związane z organizacją i funkcjonowaniem miejscowego muzeum. Rodzina Morawskich nie kryła zadowolenia z tego faktu.

Szkoła zaprzestała swojej działalności w okresie transformacji ustrojowej. Budynki gospodarcze, gospodarstwo szkolne (ok. 43 ha) zostały przejęte przez Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu, a komisja budowlana nakazała wykwaterowanie mieszkańców pałacu i gruntowny remont obiektu.



Letnisko w Marcinkowicach

Ciekawy okres w historii dworu w Marcinkowicach przypadł na lata międzywojenne. Ponieważ zakupiony od Faucka majątek nie przynosił Morawskim większego dochodu, a takie przedsięwzięcia jak tartak, browar i szkoła leśna również nie były w stanie podreperować budżetu właścicieli majątku zdecydowali się oni przekształcić zamieszkały przez nich dwór w pensjonat letniskowy. W tym czasie Marcinkowice stały się znanym miejscem pobytu letników, którzy w czasie wakacji chętnie przybywali tutaj zachęceni artykułami zachwalającymi jego uroki, zamieszczanymi w poczytnej prasie: „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, „Czasie” i „Kurierze Porannym”.

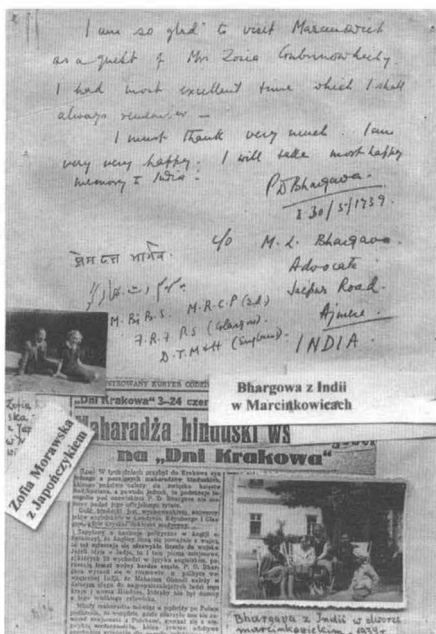
Przyjeżdżali do Marcinkowic przeważnie inteligenci z dużych miast, którzy chcieli przebywać i odpoczywać w polskim dworze wśród ludzi z towarzystwa. Bawiło towarzystwo doborowe. Z bardziej znanych byli tu wicewojewoda krakowski dr Duch z rodziną, minister Olszewski z Warszawy z rodziną, pani generałowa Kuncewiczowa z Wilna, szef biura prasowego Prezesa Rady Ministrów – Piątek z rodziną, hr. Sęgajło z Zagłębia Dąbrowskiego, pani konsulowa Starkowa z córką, dyr. Banku Gospodarstwa Krajowego Kreczmer z rodziną, naczelnik Wydz. Ministerstwa Wyznań – Gubrynowicz z Warszawy, kpt. Jan Górski z Gdyni, rodzina z Francji, wycieczka z Anglii, pewien Japończyk, Szwed, także uczennice Gimnazjum Żeńskiego z Warszawy, harcerze z Kielc, znakomitym gościem był hinduski maharadża Bhargowa.

Pensjonat był znakomicie urządzony i arcykulturalnie prowadzony przez panią Olgę Morawską. Pomysłowość gospodarzy przydała naturalnym cząrom podgórskiej przyrody nowych powabów. Letnicy – dorośli – mogli kąpać się w Dunajcu, dzieci tylko w Smolniku. Można było również zażywać kąpieli słonecznych w doskonale urządzonym pawiloniku za parkiem (z tuszami), z osobnymi oddziałami dla pań i panów.

Zarząd pensjonatu ułatwiał wycieczki do pobliskich uzdrowisk (konie, bryczki, łódki). Dla letników udostępniona była biblioteka (dwa tysiące woluminów), bilard, fortepian, kort tenisowy, można było również dowoli spacerować pięknymi alejkami wokół dworu i po całej okolicy. Wieczorami „młódź tańczyła zawzięcie”, starsi zaś prowadzili konwersację i grali w brydża. Na miejscu była skrzynka pocztowa, telefon. Dla dzieci były dostępne małe koniki, kucyki. Rozrywki były urozmaicone. Odbywano wycieczki łódkami po

Dunajcu do Rożnowa lub w Pieninach. Koleją (8 kursów dziennie) lub bryczką jeżdżono do Nowego Sącza, odwiedzano miejscowy cmentarz legionistów. Letnicy powracający do domów kolejną mieli 50 proc. zniżki.

W artykułach i wspomnieniach pisano o gospodarzach: „Niesłychana uprzejmość, wyborny wdzięk”, a o Oldze Morawskiej: „Uroczą, miłą dziewcziczką, cechuje ją równowaga i spokój”. Ponieważ w sezonie letników było od 50 do 70, dlatego dwór angażował dodatkową służbę – kilka dziewcząt do kuchni oraz pokojówki i dodatkowo jeszcze krawcową, szewca, praczkę, ogrodnika i stróża. Po-



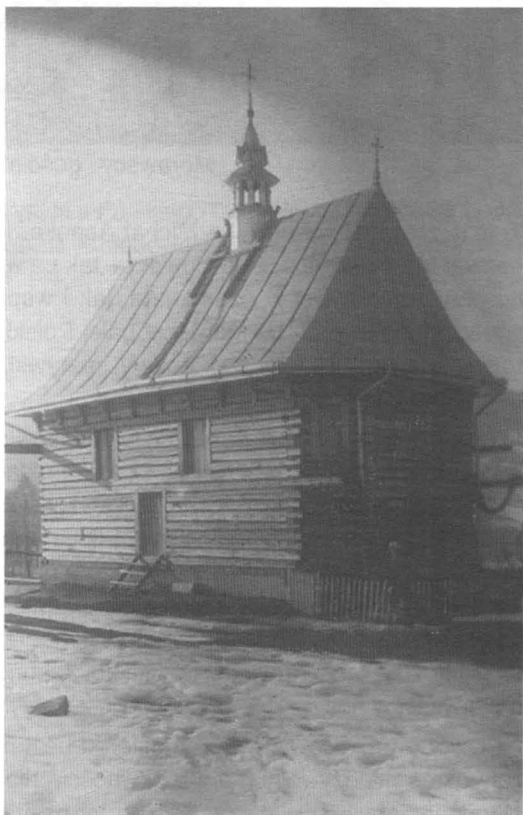
Sala bilardowa

nadto dwa razy w tygodniu przyjeżdżał z Nowego Sącza fryzjer, co w anon-sie prasowym skomentowano jako „dbałość o gości wprost niespotykaną”. Do dyspozycji gości była również kaplica, w której co niedziela odprawiał Mszę św. ksiądz z pobliskich Chomranic.

Z kolei folder reklamowy zachwalał wyżywienie: „Wikt pierwszorzę-dny, higieniczny, obfity w witaminy (nabiał, warzywa, owoce) cztery razy dziennie, drugie śniadanie za dopłatą, diety uwzględnione”.

Poza śniadaniem (w pokojach) wszystkie posiłki były podawane w obszernej sali w pałacu. Na parterze z prawej strony były kuchnie i spiżarnie. Sala środkowa (obecnie sala muzeum legionistów) była po-szerzana przez otwarcie drzwi na oszklony balkon. Znajdowały się w niej trzy stoły nakryte lnianymi obrusami, jeden dla dzieci i młodzieży, osobny dla dorosłych. Łodziarnia była w piwnicy, w pobliżu pałacu, gdzie w doskona-łych warunkach przecho-wywano produkty żywno-ściowe (lód uzyskiwano w zimie z czystego wów-czas Dunajca). Mięso wo-łowe i wieprzowe, drób, nabiał, owoce, warzywa dostarczane było przez gospodarstwo prowadzo-ne wzorowo przez Stani-sława Morawskiego.

Na posiłki wzywano dzwonieniem. Naczynia stołowe były oznaczone monogramem właścicie-li. Zupy, dania mięsne i jarskie były do wyboru. Porcji nie mierzono. Na podwieczorek podawa-no poziomki ze śmietaną, lody, ciastka i inne smakołyki.



Kaplica dworska



Morawscy i goście

Nic zatem dziwnego, że Michał Asanka Japołł (Szczęsny Morawski) nazwał Marcinkowice „Soplicowem – tak ze względu na uroki geograficzno-przyrodnicze wsi w czasie lata, jak i wspaniałe tradycje historyczne i gościnność dworu”, do którego z całej Polski przybywali goście na „czarowny wypoczynek”, gdzie zabawy, rozrywki, wspólne posiłki stwarzały atmosferę sielskości.

Niektórzy letnicy powracali do Marcinkowic kilkakrotnie. Towarzystwo lubiło się bawić, tańczyć, czytać książki i układać zabawne kuplety o gospodarzach i gościach. W przyspiewkach żartowano z flirtujących letniczek. Szczególnie radośnie bawiono się 11 lipca w imieniny dziedziczki Olgi Morawskiej. Uroczystość rozpoczynała się w południe życzeniami dzieci, później były mowy dorosłych i recytacja strof imieninowych. Po południu imieniny uświetniał występ teatru amatorskiego. Dalej uroczysta kolacja – *Słońce* – a później tańce, również te ogniste. Zakończenie zabawy następowało o pierwszej w nocy.

Dwór promieniował miłą atmosferą i bez troską. Tak było przez niemal cały okres międzywojnia, ale z pewnością nie zawsze. Los – jak zawsze nieodgadniony – bywał czasami dla tej oazy radości i wypoczynku – jak

wszędzie – po prostu okrutny. Takim doświadczeniem była przede wszystkim niespodziewana śmierć Marysi Morawskiej w 1932 r., które to wydarzenie z całą pewnością położyło się głębokim cieniem na szczęściu rodziny i pośrednio choćby musiało wpłynąć na atmosferę dworu–letniska.

Sielanka skończyła się definitywnie wraz z wybuchem II wojny światowej. Terror hitlerowski dotknął boleśnie Morawskich, którzy przeżyli aresztowanie syna Jana oraz emigrację córki Zofii. Później – wraz z realizacją reformy rolnej – odebrano im majątek. Niektóre budynki pensjonatu („Szwajcarka”, browar) przestały istnieć, a pałac posłużył innym celom. Pozostał okaleczony park – niemy świadek świetnej przeszłości.

Literatura

1. Jan Cząstka, *Z dziejów górnictwa naftowego w Sądecku*, „Rocznik Sądecki”, t. XIII, 1972.
2. Józef Piłsudski, *Moje pierwsze boje*, Łódź 1988.
3. Jan Sitowski, *Dwory i dworki w Sądeckim w XIX wieku*, Mordarka 1920.
4. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, pod red. F. Sulimierskiego, B. Chlebowskiego, W. Walewskiego, Warszawa 1885.

NOWOSĄDECKIE MŁYNY WODNE W XIX I XX WIEKU

Sądeckczyzna na dwa lata przed pierwszym rozbiorem Polski na początku sierpnia 1770 r. została zagarnięta przez cesarzową Marię Teresę i przyłączona do Węgier. Po jej śmierci, w 1780 r. rządy objął cesarz Józef II, za którego panowania przeprowadzono szereg reform, m.in.: skasowano klasztory, zniesiono kolegiatę i prawo magdeburskie dla Nowego Sącza. Dobra kościelne, klasztorne i królewskie rozprzedano bądź przeznaczono na tzw. fundusz kameralny. Dawne młyny królewskie w 1776 r. albo pozostawiono w zarządzie starosty grodowego Stanisława Małachowskiego, albo też pobierano z nich trzecią część dochodów przyznanych miastu jeszcze w roku 1631. W marcu 1776 r. została zawarta w tej sprawie ugoda pomiędzy starostą grodowym a miastem. Dawne młyny królewskie w tym okresie zwane były młynami starościąńskimi, później kameralnymi. Po 1780 r. młyny królewskie w Nowym Sączu znajdowały się pod zarządem władz krajowych – zostały przekazane na fundusz kameralny. Czyszn z młynów w latach 1784–1806 wynosił 150 zł i był opłacany za okres od listopada do października roku następnego.

1 listopada 1855 r. Ministerstwo Finansów zawarło ugodę z dyrekcją Austriackiego Uprzywilejowanego Banku Narodowego w Wiedniu, na mocy którego dobra kameralne (m.in. młyny w Nowym Sączu) oddano za długi. Podobny los spotkał młyny w Krakowie. Miasto straciło trzecią część dochodów z dawnych młynów królewskich. W budżecie miejskim była to znacząca kwota, starano się więc uzyskać dodatkowe dochody poprzez dzierżawę lub budowę własnych zakładów wodnych: tracza i młyna.

Powstanie tracza i młyna miejskiego

1 maja 1781 r. zawarta została umowa dzierżawy pomiędzy miastem a parafią św. Małgorzaty. Z folwarku wikarych o nazwie „Warzechowskie”, położonego nad Kamienicą, została wydzielona część na potrzeby browaru i tartaku. W zamian kapituła otrzymała czynsz roczny w wysokości 10 złp. oraz corocznie prawo bezpłatnego przetarcia 5 tramów drzewa. Wkrótce na tym terenie został wybudowany tartak miejski. Zgodnie z zawartą umową miasto płaciło czynsz plebanowi sądeckiemu z gruntu, na którym tracz miejski wybudowano. Opłata w latach 1807–1810 wynosiła rocznie 2,30 złr. Tracz miejski wypuszczany był warendę mieszczanom sądeckim. W 1808 r. dzierżawcą tartaku był Tomasz Gutowski. W myśl podpisanej na okres pięciu lat umowy magistrat zobowiązany był do utrzymywania budynków i urządzeń tracza w sprawności technicznej. Dzierżawca płacił roczny czynsz, a zawarte porozumienie nie nakładało na niego obowiązku bezpłatnego przecierania określonej liczby tramów drzewa dla miasta. Umowa ta nie była zbyt korzystna dla miasta. Już w następnym roku wystąpił Gutowski o naprawę piły, która zapewne była intensywnie eksploatowana. Początkowo miasto próbowało ją zreperować, za co kowal Franciszek Goltwald otrzymał zapłatę 5,45 złr. Zdaje się jednak, że naprawa na niewiele się zdała, skoro miesiąc później magistrat kupił do tracza nową pilę, za którą zapłacono 30 złr. Za cięcie drewna na potrzeby miejskie Gutowski pobierał od miasta opłaty. W 1808 r. za przecieranie tarcicy do napraw miejskich otrzymał kwotę 37,60 złr.

Młyn miejski wybudowano później niż tracz, prawdopodobnie powstał w latach trzydziestych i czterdziestych XX w. W początkowym okresie miasto dzierżawiło młyn pański. W latach 1808–1809 opłacano czynsz z młyna pańskiego w wysokości 30 złr. rocznie, zgodnie z kontraktem zawartym z Franciszkiem Niewiarowskim – posesorem Paszyna.

Kolejnymi dzierżawcami tracza i młyna miejskiego byli: Hollender, Ignacy Kirschner (zbankrutował) oraz Jan Holik i Józef Sobolowski, którzy użytkowali obiekty od 31 stycznia do 22 czerwca 1868 r. Na posiedzeniu Rady Miejskiej 10 czerwca 1868 r. zatwierdzono akt licytacji na wypuszczenie młyna i tracza miejskiego w sześcioletnią dzierżawę począwszy od 24 czerwca 1868 r., wygraną przez Alojzego Dobrowolskiego za czynsz roczny 202 reńskich. Umowa z Dobrowolskim również nie była korzystna, gdyż miasto ponosiło koszty remontów budynków i urządzeń technicznych, a dochody płynące z dzierżawy dawały z roku na rok coraz mniejsze wpływy do kasy miejskiej.

Na posiedzeniu 3 lipca 1872 r. Rada Miasta Nowego Sącza nie zgodziła się na wydatkowanie sumy 345 złr. i 50 centów na naprawę budynków i urządzeń wewnętrznych młyna i tracza miejskiego. Argumentowano, iż skoro dzierżawca Alojzy Dobrowolski użytkował tracz i młyn, to powinien również własnym kosztem zreperować urządzenia wewnętrzne, z tym że budynki miały być wyremontowane na koszt miasta poprzez ogłoszenie przetargu.

Przez pięć lat dzierżawy Dobrowolski regularnie wpłacał do kasy miejskiej ustaloną kwotę czynszu. Po wygaśnięciu umowy dzierżawy, zalegał miastu z płatnością 150 złr. i 85 centów. Magistrat początkowo próbował tę sumę odzyskać, ale po rozeznaniu sprawy okazało się, że były dzierżawca pomimo dużej pracowitości żyje w wielkiej biedzie z dziesięciorgiem małych dzieci. Uwzględniając te okoliczności oraz jego uczciwość (urządzenia wewnętrzne zwrócił w dobrym stanie technicznym) na posiedzeniu 22 lipca 1875 r. umorzono jego dług.

Kolejną osobą, która starała się o dzierżawę tracza i młyna miejskiego był Piotr Hoffman. Na 6 miesięcy przed wygaśnięciem umowy z Dobrowolskim złożył ofertę dzierżawy zakładów miejskich na dziewięć lat, za opłatą rocznego czynszu w wysokości 150 złr i obowiązkiem remontowania własnym kosztem budynków i urządzeń wewnętrznych. Rada Miejska na posiedzeniu 7 stycznia 1874 r. postanowiła jednak oferty tej nie przyjąć, ponieważ kwota utrzymania budynków i wewnętrznych urządzeń pochłaniała czynsz, w związku z czym miasto nie miałoby z tego zakładu prawie żadnego dochodu. W tej sytuacji podjęto decyzję sprzedaży zakładu wodnego na licytacji, ustalając cenę wywoławczą na 2,5 tys. reńskich. Licytacja odbyła się 19 maja 1874 r. i została wygrana przez Pawła Stengla, który zaoferował najwyższą cenę (3255 reńskich). Stosowny kontrakt podpisano 20 listopada 1875 r. Dodatkowo kupujący zobowiązany został do utrzymania w należytym stanie młynówki: czyszczenia jej, umacniania brzegów, wałów i grobli młyńskiej.

Gmina Miasta Nowego Sącza sprzedaje małżonkom Karolinie i Pawłowi Stenglom położony na przedmieściu Gorzków dotychczas miejski młyn i tracz wraz z należącymi do nich gruntami a w szczególności biorąc za podstawę wymiar katastralny z r. 1846: młyn wystawiony na gruncie nr parceli 1826, tracz wystawiony na gruncie nr parceli 577, szopę wystawioną na gruncie nr parceli 576 wraz z gruntami pod temi budynkami, dalej grunt nr parceli 1822 w objętości 255 sążni kw, grunt nr parceli 1826 w objętości 195 sążni kw i grunt parceli 1827 w objętości 47 sążni wraz z prawem użycia młynówki nr parceli 2161.

Prawdopodobnie w tym czasie został wybudowany budynek młyna i tartaku, zachowany w dużej części do dzisiaj. Obydwa zakłady zostały również zmodernizowane wewnątrz, ale nie zastosowano tzw. systemu amerykańskiego przemiału zboża, który polegał na zmechanizowaniu większości prac związanych z transportem zboża i mąki. Młyn pozostał nadal dość prymitywnym zakładem wyposażonym w kamienne żarna.

Paweł Stengel był w posiadaniu zakładów wodnych do końca XIX w. W 1899 r. sprzedał je Jędrzejowi Kumorowi z Nowego Sącza. Kontrakt kupna-sprzedaży został sporządzony 11 lutego 1899 r. Zgodnie z wyciążem hipotecznym z 20 stycznia 1899 r. w skład realności 749 wchodziły: parcela nr 576 – powierzchnia pod budowlą nr 498, parcela nr 577 – powierzchnia pod budowlą nr 498 oraz parcela nr 1828 – ogród (zawarowane zostało również prawo używania wody z młynówki nr 2161). Po podpisaniu kontraktu Jędrzej Kumor wystąpił o pozwolenie zaintabulowania na siebie realności lwh 749, na co zgodę władz miasta otrzymał 18 marca 1899 r.

Rodzina Kumorów wywodzi się ze Żmudzi, skąd zmuszona była uciekać po powstaniu styczniowym. Trzech braci osiedliło się na Sądecczyźnie. Jeden ożenił się w Niskowej i przybrał nazwisko Kumorowski, a dwaj zamieszkali w Nowym Sączu. Synem jednego z nich był wspomniany wyżej Jędrzej Kumor.

Według relacji Heleny Rejowskiej (z domu Kumor), jedynej córki Jędrzeja Kumora, początkowo młyn posiadał kamienne żarna i mełł głównie na kaszę, a tartak wyposażony był w jedną piłę. Dopiero przed I wojną światową we młynie zamontowano jedną parę walców. Budynek młyna w dolnej części zbudowany był z cegły, w górnej z drewna. Szopa tartaczna zbudowana była z filarów ceglanych obitych deskami. Urządzenia młyna napędzane były oddzielnym kołem wodnym śródsiębiernym o średnicy 4,2 m. Tartak posiadał drugie koło nasiębiernie o średnicy 4 m. Młynówka poprowadzona była od rzeki Kamienicy na wysokości Gorzkowa. Tylko przy dużym stanie wody mogły pracować jednocześnie obydwie zakłady. Najczęściej w dzień pracował tartak, a w nocy młyn. Dalej woda płynęła do zakładu Rossmanitha.

Jędrzej Kumor nie miał syna, a z jedyną jego córką Heleną ożenił się Tadeusz Rejowski ze Starego Sącza, który pochodził z rodziny zajmującej się kuśnierstwem. W 1941 r. zgodnie z dekretem dziedzictwa z 29 listopada Helena i Tadeusz Rejowscy zostali właścicielami młyna i tartaku.

W czasie II wojny Niemcy zajęli tartak, produkując w nim klocki do wyrobu gazu do samochodów (tzw. holtzgaz), ale młyn pozostał nadal w rękach rodziny Rejowskich. Pod koniec wojny w budynkach klasztornych (niedaleko młyna) znajdował niemiecki szpital wojskowy. W styczniu 1945 r. w budynek mieszkalny, który położony był na południe od młyna, uderzyła bomba zrzucona przez radziecki samolot „kukuruźnik”. Dach budynku został częściowo zniszczony, ale młyn i tartak nie ucierpiały.

Po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. odremontowano obydwa zakłady. W sierpniu 1946 r. Starostwo Powiatowe Nowosądeckie po przeprowadzonej kontroli potwierdziło dobry stan techniczny młyna i tartaku. Polecono również w księdze wodnej wpisać jako właścicieli (w miejsce Jędrzeja Kumora) Tadeusza i Helenę Rejowskich.

W dokumentach rodziny zachowała się szczegółowa, wykonana 5 listopada 1949 r. inwentaryzacja techniczna młyna i tartaku. Młyn wybudowano w 1874 r., remontowano w 1939 i 1946 r. Jego produkcja roczna przy zatrudnieniu trzech robotników wynosiła 50 t. Zboże zsypywało się do odpowiedniego zbiornika (kosza), z którego rurą doprowadzono do maszyn czyszczących (łuszczarek). Za pomocą elewatorów zboże przesypywano do koszów walcowych (na I piętrze), a następnie na walce mielące. Po przejściu przez walce znowu za pomocą elewatorów przetarty produkt dostawał się na poddasze na sita odrzutowe (wialnie), gdzie odsiewano mąkę. Proces powyższy powtarzano kilkakrotnie (do 6 razy). Odpady w postaci otrąb wydawano rolnikom wraz z mąką. Zakład dysponował napędem wodnym z koła o mocy 18 KM, w rezerwie posiadał motor elektryczny przenośny 12 KM. Wyposażony był w dwie pary walców o długości 90 cm i dwa holendry do produkcji pęczaku. Jego właściciel – Tadeusz Rejowski – posiadał wykształcenie młynarskie – dyplom Wyższej Szkoły Handlowej i dyplom mistrza młynarskiego.

Równie szczegółowy jest opis techniczny tartaku, który stwierdza, że tartak jednogatrowy (położony przy ul. Klasztornej 45) posiadał ściany drewniane, a filary z ceglane. Na niskim parterze tartaku mieściło się koło wodne, koło paleczne, transmisja z kołem trybowym i pasowym oraz dolne fundamenty gatur. Reszta niskiego parteru służyła jako skład trocin. Na parterze (hala tartaczna) znajdował się gater do cięcia drzewa, cyrkularka, kantorek do ostrzenia pił oraz skład narzędzi. Z parteru prowadziły schody na poddasze, gdzie mieścił się skład skrzynek na jabłka wykonywane w tartaku. Słupy wykonano z cegły na zaprawie cementowo-wapiennej; podciągi były żelazne, stropy drewniane; ściany pomiędzy filarami ryglowe obito deskami. Zakład pokryty był dachówką. Zatrudnionych było w nim

od dwóch do czterech robotników. Wykorzystywano napęd wodny (koło wodne o mocy 16 KM), ponadto motor elektryczny przy cyrkularce o mocy 10 KM. Koło wodne poruszało koło pałeczne, z którego siła przenoszona była na koło trybowe, które uruchamiało transmisję. Z kolei koło pasowe umieszczone na tej transmisji wprowadzało w ruch gater. Roczna produkcja przetartego drewna wynosiła 500 m³ przy zatrudnieniu od 2 do 4 robotników. Drewno zakupywano w okolicznych lasach samorządowych. Jego transport na plac składowy obok tartaku odbywał się furmankami. Drewno przecinano na kłose o długości 4-6 m, następnie koleją tartaczną dowożono na halę, gdzie przetoczono na wózki gatrowe. W dalszej kolejności następowało przetarcie na belki lub deski, które były obróbywane na cyrkularce. Spalano jedynie trociny i zrżyny, reszta jako premia wydawana była pracownikom tartaku, ewentualnie sprzedawana klientom.

W 1949 r. firma Józefa Wasia, która znajdowała się w dawnej fabryce Rossmannitha, zrezygnowała z prawa poboru wody z Kamienicy Nawojowskiej i ciężar konserwacji młynówki spadł na Tadeusza Rejowskiego po połowie z firmą „Bracia Boruch”.

Rok później przeprowadzono kontrolę tartaku i młyna. Wojewódzka Rada Narodowa w Krakowie pismem z dnia 30 listopada 1950 r. wydała zezwolenie na dalsze prowadzenie zakładów pod warunkiem zrealizowania zaleceń pokontrolnych.

Tartak czynny był do 1952 r., a młyn do połowy lat pięćdziesiątych. W 1953 r. upaństwowiono maszyny tartaku i przekazano Miejskiemu Przedsiębiorstwu Remontowo-Budowlanemu w Nowym Sączu. W początkowym okresie dyrektor MPRB Górka zatrudnił Tadeusza Rejowskiego, gdyż posiadał on wieloletnie doświadczenie zawodowe związane z prowadzeniem tartaku i przeróbką drewna. Ale niestety po kilku miesiącach zwolnił go nie podając przyczyn takiego działania. Przez okres dwóch lat budynki dawnych zakładów wodnych wydierżawiono firmie Kafarowskiego, która produkowała tu m.in. spinacze do bielizny i składane krzeselka turystyczne. Kolejnym dzierżawcami byli: firma „Przełom” (wykonała m.in. ławki do kaplicy szkolnej) oraz zakłady drobiarskie. W połowie lat osiemdziesiątych w budynku młyna PTHW uruchomiło sklep z częściami motoryzacyjnymi do samochodów ciężarowych. Od marca 1996 r. halę tartaczną wydierżawiono firmie ze Stróż, która uruchomiła tu sklep materiałami budowlanymi.

Od marca 1966 r. hipoteczną właścicielką młyna i tartaku była Teresa Rejowska, córka Tadeusza i Heleny z Kumorów.



Młyn i tartak Tadeusza Rejowskiego

Ostatni rozdział w dziejach zakładów wodnych rozegrał się wiosną 1967 r. 11 marca Komisja Wydziału Gospodarki Wodnej w Nowym Sączu przeprowadziła kontrolę zakładu wodnego. Niespełna dwa tygodnie później – 23 marca – Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Nowym Sączu (Wydział Gospodarki Wodnej i Ochrony Powietrza) wydało decyzję, w wyniku której cofnięto pozwolenie wodnoprawne na pobór wód z Kamienicy Nawojowskiej dla zakładu wodnego Tadeusza i Heleny Rejowskich.

W wyniku przeprowadzonej kontroli dnia 11 marca 1967 roku w zakładzie Rejowskich cofa się bez odszkodowania pozwolenie wodnoprawne na pobór wód z pot. Kamienica Nawojowska w ilości 1500 l/sek przy niskim stanie wody i 2300 l/sek przy średnim stanie wody przeznaczonych do napędzania urządzeń młyna i tartaku wydane orzeczeniem c.k. Władzy Obwodowej w Nowym Sączu z dnia 27 sierpnia 1862 roku oraz z dnia 20 kwietnia 1855 roku a zaakceptowane pismem Starostwa Powiatowego Nowosądeckiego z dnia 28 sierpnia 1946 roku. W czasie kontroli przeprowadzonej w dniu 11 marca 1967 roku stwierdzono, że uprawnieni nie korzystają z poboru wody przewidzianego pozwoleniem wodnoprawnym jak sami oświadczyli co najmniej od 1955 roku. Obecnie urządzenia zakładu wodnego są zdezastrowane, a w szczególności: koło wodne wymontowane, doprowadzalnik zniszczony, młynówki dolna i górna od szeregu lat nie są konserwowane, jaz mający służyć do piętrzenia wody na pot. Kamienica Nawojowska, jak równie służa wpustowa do młynówki górnej nie istnieją. Właściciele zakładu oświadczyli do protokołu, że w okresie powojennym urządzenia tartaku zostały upaństwowione i przekazane Miejskiemu Przedsiębiorstwu Robót Budowlanych w Nowym Sączu. Orzeczenie niniejsze wydano w związku z koniecznością zasypania młynówki wskutek rozbudowy Szpitala Miejskiego w Nowym Sączu.

W 1976 r. w związku z budową ulicy Królowej Jadwigi Rejowscy zostali wykwaterowani z własnego budynku mieszkalnego do mieszkania spółdzielczego. Wkrótce ich dom rodzinny został wyburzony.

Ponad stuletni budynek młyna zachowany jest w dobrym stanie technicznym, ale obecnie nie jest użytkowany. Na jego ścianie od strony północnej wmurowane są dwa koła młyńskie o średnicy ok. 90 cm. Druga para kamieni, bo tyle miał kiedyś młyn, zaginęła, znajduje się gdzieś obok młyna przysypana ziemią. Młyn posiada kilka kondygnacji: piwnice, w których znajdowały się urządzenia napędowe, parter, pierwsze i drugie piętro. Na strychu zachowała się jeszcze część wyposażenia i dawnych

urządzeń: elewatory do transportu zboża i mąki, tryby, koła, pasy parciane z pojemnikami do transportu zboża, sita i inne. Po urządzeniach tartaku brak śladów. Przetrwały jedynie klocki dystansowe ustalające grubość ciętych desek. Po dawnej młynówce, która płynęła od strony wschodniej widoczny jeszcze fragment betonowego kanału, doprowadzającego wodę do tartaku. Kanał do młyna został zasypany, na jego miejscu znajduje się utwardzona droga.

Młyn jezuicki

Jezuici przybyli do Nowego Sącza po wygnaniu z Rosji przez cara Aleksandra I. Na wydzierżawionym od miasta placu w 1843 r. wybudowali własny młyn, który znajdował się na lewym brzegu Kamienicy, obok dawnej łaźni miejskiej przy ulicy nazwanej później Łazienną (obecnie Bulwar Bohaterów Narwiku). W tamtym czasie oprócz młyna jezuickiego działały w mieście jeszcze cztery inne: dwa dawne królewskie (wówczas kameralne), przy trzcu miejskim oraz dawny franciszkański. W 1848 r. pomiędzy miastem a jezuitami została zawarta ugoda, w wyniku której zakonnicy płacili miastu czynsz za prawo użytkowania młyna w wysokości 31,50 złr.

Przed rokiem 1868 jezuici przebudowali młyn i zmienili sposób jego zarządzania. Zakład posiadał dwa koła podsiębierne, jednak nie zawsze obydwa były czynne. Wizja lokalna z 24 listopada 1872 r. wykazała, że pracowało tylko jedno koło, dlatego udzielono zezwolenia na zwiększenie poboru wody, tak aby mogły równocześnie pracować obydwa. Równocześnie polecono znieść stary jaz powyżej mostu nr 253 „na Piekło” i udzielono zezwolenia na budowę nowego jazu poniżej mostu.

Jezuici starali się o rozbudowę budynku młyna. Magistrat Nowego Sącza decyzją z dnia 25 sierpnia 1893 r. wydał zezwolenie na budowę z materiału ogniotrwałego skrzydła południowego, ale trudno dziś dociec czy owo skrzydło zostało wybudowane przed wielkim pożarem miasta 24 kwietnia 1894 r., w czasie którego młyn spłonął. Posiadał trzy koła wodne, a jego wartość szacowana była na co najmniej 50 tys. złr. Zapalił się od przylegających do niego żydowskich budynków drewnianych. Zakonnicy szybko odbudowali zakład, w którym już w sierpniu ponownie mielono mąkę. W marcu 1895 r. został opracowany plan przebudowy młyna. Wkrótce przystąpiono do prac budowlanych, w wyniku których budynek otrzymał



Młyn jezuicki

kształt dzisiejszy. Istotną zmianą była rezygnacja z kół wodnych, które zastąpiła o wiele wydajniejsza turbina Francisca o osi pionowej i mocy 42 HP (koni parowych). W zależności od potrzeb i możliwości młyn posiadał różną liczbę kamieni i walców. W 1895 r. wodna turbina napędzała walce siedmiu kamieni młyńskich, a w 1906 r. w młynie czynne były dwa walce i dwa zestawy kamieni.

Kroniki zakonne podają, że młyn pracował bez większych przeszkód w czasie I wojny światowej. W okresie międzywojennym w dalszym ciągu napędzany był turbiną wodną Francisca o poborze 1680 litrów na sekundę i mocy 42 HP. Z początkiem lipca 1932 r. starosta powiatowy wydał zezwolenie konwentowi na ustawienie drugiej, rezerwowej turbiny. Zamontowano wówczas jeszcze jedną turbinę Francisca o osi pionowej i mocy 50 KM.

W czasie II wojny światowej pozostawiono jezuitom folwark i młyn. Dochody z folwarku nie były wysokie. Znacznie większe dawał młyn, który pracował przez cały okres okupacji. Niemcy dawali do przemiału zboże kontyngentowe, wolno też było przyjąć zboże od osób prywatnych. Przepisy niemieckie dopuszczały stratę 5 proc zboża. W rzeczywistości była ona mniejsza i wynosiła 2 proc.

W wyniku działań wojennych w styczniu 1945 r. budynek młyna uległ częściowemu zniszczeniu. Oszacowanie wysokości szkód wojennych (według cen obowiązujących przed 1939) ustalono na kwotę 5700 zł, a Komitet Odbudowy Miasta Nowego Sącza zakwalifikował wymienioną realność do remontu.

Po zakończeniu II wojny światowej rozpoczął się bardzo trudny okres dla właścicieli młyna. Zgodnie z dekretem władz państwowych wszystkie większe zakłady przemysłowe miały zostać odebrane prywatnym właścicielom. 2 marca 1951 r. upaństwowiono młyn walcowy z turbinami wodnymi i silnikami elektrycznymi o zdolności przemiałowej 7,8 t. mąki. Podobnie budynek trzypiętrowy (na podstawie orzeczenia Ministra Handlu Wewnętrznego z dnia 14 grudnia 1949 r. ogłoszonego w Monitorze Polskim Nr 16 poz. 170 z dnia 13 marca 1950 r.). Z końcem 1952 r. ten sam los spotkał 5-hektarowy ogród jezuitów. Administrację nad zakładem, który został nazwany młynem gospodarczym nr 1 przejęło Rejonowe Przedsiębiorstwo Młynów Gospodarczych w Nowym Sączu. W późniejszym czasie młyn podlegał kolejno: Nowosądeckim Zakładom Spożywczym Przemysłu Terenowego w Grybowie, Nowosądeckim Zakładom Spożywczym Przemysłu Terenowego Przedsiębiorstwo Państwowe w Piwnicznej, Zakładom Piwowarskim w Okocimiu Zakład nr 8 Zakład Butelkowania Wody Mineralnej

w Piwnicznej. 1 stycznia 1977 r. został przekazany Rejonowej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu w Nowy Sączu. Spółdzielnia dobrze administrowała zakładem, systematycznie remontowane były budynki i urządzenia młynarskie. Młyn przez cały czas był w pełni sprawny technicznie. W gestii RSZZ znajdował się do 1994 r.

Zmiany ustrojowe, jakie zaszły w Polsce po 1989 r., dały jezuitom nadzieję na odzyskanie utraconej własności. 8 października 1990 r. wystąpiono w tej sprawie do Komisji Majątkowej w Warszawie. Postępowanie w sprawie zwrotu młyna zostało wszczęte na mocy zarządzenia z dnia 19 października 1991 r., kończąc się jego zwrotem w 1994 r. Należy zaznaczyć, że przez cały okres państwowego zarządu zakład utrzymywany był w dobrym stanie technicznym. Na bieżąco przeprowadzano remonty i naprawy zarówno samego budynku, jak i urządzeń młyńskich. Młyn mógł być natychmiast uruchomiony, ponieważ jednak jezuita nie mieli żadnego doświadczenia w prowadzeniu młyna walcowego, dlatego wydzierżawili zakład Jackowi Chronowskiemu z Nowego Sącza.

Młyny Jenknera

W 1867 r. został wybudowany przez Jędrzeja Jenknera (osadnika ze Śląska) młyn na gruncie zakupionym od miasta w miejscu dawnego folusza. 7 października 1869 r. Rada Miejska przyjęła i zatwierdziła protokół spisany z Jędrzejem Jenknerem, właścicielem nowo wybudowanego i na sposób amerykański zarządzanego młyna. Według zawartego porozumienia Jędrzej Jenkner miał tytułem daniny płacić rocznie do kasy miejskiej 30 złr.

Po Jędrzeju Jenknerze (na podstawie dekretu dziedzictwa z 31 grudnia 1908 r. i jego ostatniej woli z 3 października 1906 r. oraz ugody spadkowej zawartej w Wiedniu 5 sierpnia 1907 r.) właścicielem tej realności został jego syn Maksymilian Jenkner, który prowadził zakład aż do II wojny.

Jędrzej Jenkner, budując system tam, przesunął bieg rzeki Kamienicy od swojego gruntu na prawy brzeg rzeki. Powstałe „kamieńce” osuszał i zagospodarowywał. W tak powstałym miejscu zbudował swój drugi młyn. Zakład istniał już na pewno w 1874 r., gdyż był już wtedy zaintabulowany w księgach gruntowych Nowego Sącza.

Na podstawie dekretu dziedzictwa, rozporządzenia ostatniej woli z 3 października 1906 r. i ugody spadkowej wydanej w Wiedniu 5 sierpnia

1907 r. właścicielem młyna została Dorota z Matznerów Jenkner. Kolejną właścicielką była Teodora z Jenknerów Zajęc, która na podstawie kontraktu z 23 kwietnia 1919 r. sprzedała prawo własności do tej realności po połowie małżeństwu Arnoldowi i Reginie Horowitzom.

Realność ta obejmowała powierzchnię 2 ha 86 arów i 97 m² i zabudowana była młynem jednopiętrowym murowanym o jednym kole z przylegającym doń domem parterowym murowanym oraz budynkami gospodarczymi. Wodę doprowadzano z Kamienicy Nawojowskiej za pomocą prymitywnego jazu z szutru i gałęzi w ilości 560 l/sek. Motor stanowiło jedno koło wodne nasiębierne.

W czasie II wojny światowej rodzina Horowitzów została wymordowana przez hitlerowców. 22 sierpnia 1942 r. został zastrzelony w szpitalu żydowskim przy ul. Kraszewskiego Arnold Horowitz. W połowie września 1942 r. zginęła w Nowym Sączu Schneidla z Reibschaidów (jego adoptowana córka, urodzona w Starej Wsi k. Limanowej), a także jej mąż Eliasch Einhorn oraz dwójka dzieci: Sara i Zygmunt.

Młyn funkcjonował po II wojnie światowej. Zarejestrowany był na Emila Steinlaufa, jednego ze spadkobierców – właściciela części nieruchomości. Dodatkowych informacji technicznych dotyczących zakładu dostarczają księgi wodne, gdzie zarejestrowane były wszystkie budowle hydrologiczne. Zakład posiadał prawo poboru wody z Kamienicy Nawojowskiej w ilości 560 l/sek. za pośrednictwem prowizorycznego jazu z faszyny i kamienia. Jako silnik służyło koło wodne nasiębierne o średnicy 3 m i szerokości 2,3 m.

Młyn amerykański Arnolda Horowitza był jednym z najnowocześniejszych zakładów w mieście. Posiadał wysokiej klasy wyposażenie: jedną parę kamieni francuskich, dwie pary walców stalowych (jedne z 1922, drugie z 1928 r.), holender do wytwarzania krup, łuszczarkę do zboża, maszynę do grysiku oraz wialnie i odsiewacze, które pozwalały otrzymywać mąkę wysokiej jakości.

Zakład Horowitza był jedynym młynem, który po II wojnie światowej został całkowicie upaństwowiony. Stało się to na podstawie zaświadczenia Wojewódzkiego Urzędu Ziemskiego w Krakowie z dnia 27 kwietnia 1946 r.

Pozwolenie na używanie wody w zakładzie cofnięto decyzją Wydziału Gospodarki Wodnej i Ochrony Powietrza Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Sączu z dnia 23 marca 1967 r. W 1974 r. budynek młyna został rozebrany w związku z budową obwodnicy i ronda w sąsiedztwie stadionu Sandecji.

Dawny młyn franciszkański

Zwolnienie w 1669 r. młyna franciszkańskiego z wszelkich opłat i należności na rzecz miasta utrudnia śledzenie jego losów. Folwark młynarski znajdował się poniżej obecnego cmentarza komunalnego przy ul. Śniadeczkich nad młynówką poprowadzoną od rzeki Kamienicy. Kolejne potwierdzenie istnienia młyna w tym rejonie mamy dopiero ponad sto lat później w dokumencie z 1762 r. Dzierżawcami młyna byli wtedy Sebastian i Anna Obrzutowie z Nowego Sącza. Z protokołu pokontrolnego wynika, że młyn posiadał jedno koło wodne, które napędzało zestaw kamieni młyńskich i nową dębową stępę.

Na mapie Miega, która opracowana została w latach 1770–1780, zaznaczone są nad młynówką trzy młyny: dwa królewskie oraz trzeci franciszkański.

Zakon franciszkański zniesiono w 1785 r., a jego majątek skonfiskowano. Młyn został zapewne sprzedany, ale nie wiadomo komu i na jakich warunkach. Informacji na temat właścicieli zakładu dostarczają księgi gruntowe założone jednak dopiero w 1874 r., które podają, że w tym okresie młyn był w posiadaniu braci Landau. Do parceli budowlanej, na której stał zakład przynależało również prawo używania wody dla młyna lub tartaku.

Kontraktem z dnia 1 lutego 1888 r. Perli Witte Landau sprzedał połowę tej realności Konstantemu Aleksandrowi. Brat jego Horsch Landau również sprzedał swoją część. Nabyła ją kontraktem z dnia 2 kwietnia 1888 r. Zuzanna Jenkner.

Kolejnym właścicielem tej realności został Józef Rossmanith, który zakupił ją na podstawie kontraktu kupna-sprzedaży z dnia 25 maja 1897 r. W miejscu tym zostały wybudowane duże zakłady metalowe – wielka fabryka siatek i płotów drucianych, poręczy mostowych i konstrukcji żelaznych. Był to zakład dość duży, zatrudniający ok. 60 osób. Do napędu urządzeń fabryki wykorzystywane było koło wodne. Zakład pobierał wodę z Kamienicy Nawojowskiej za pomocą jazu z faszyny i kamienia w ilości 1307 l/sek. Motorem było koło wodne nasiębiernie o mocy 42,5 HP.

Dekretem dziedzictwa z 14 lipca 1918 Józef Rossmanith podzielił tę nieruchomość pomiędzy żonę i dzieci. Swoją część (1/12) Ludmiła Maria z Rossmanithów Wilkoszowa na podstawie umowy z dnia 21 września 1943 r. sprzedała Stefanii Wasiowej, która prowadziła wspólnie z mężem odlewnię żelaza i ślusarnię. Zakład o jednym kole nasiębiernym wykorzystywał wodę do napędu urządzeń wewnętrznych aż do 1949 r.

Dawne młyny królewskie

Dawne młyny królewskie, przejęte przez fundusz kameralny, zostały przekazane za długi i w 1868 r. znajdowały się w zarządzie Powiatowej Dyrekcji Finansowej w Nowym Sączu. Obydwa młyny dotrwały do czasów Jana Sygańskiego. Dopiero w 1871 r. na licytacji zostały sprzedane Reib-scheidowi. Od 1875 do 1882 r. były w posiadaniu Piotra Hoffmana, który płacił roczny czynsz za prawo mielenia w obydwóch młynach w wysokości 63 zł reńskich. Kontraktem z dnia 17 marca 1882 r. obydwie młyny odkupiła Anna Schützer i na ich miejscu wybudował dwa okazałe murowane zakłady pracujące w systemie amerykańskim. Opłata młynna pozostała bez zmian i do końca XIX w. wynosiła 63 złr.

Młyn dolny dekretem dziedzictwa c.k. Sądu Powiatowego w Nowym Sączu z dnia 11 kwietnia 1905 r. Anna Schutzer przekazała po połowie na rzecz Salamona Izaka Laksa (Laxa) i Hermana Leiby Laksa. W posiadaniu rodziny Laksów znajdował się ponad 40 lat. W latach 1924–1928 opłata młynna wynosiła 3300,56 zł, potem uległa zwiększeniu do 4000 zł i na tym poziomie utrzymywała się do wybuchu II wojny światowej. Po wojnie na podstawie umowy sprzedaży z datą 30 marca 1948 r. właścicielami młyna zostali małżonkowie Adam Krzak syn Wojciecha i Wiktoria z Kubielaśów Krzakowa. Adam Krzak w krótkim okresie czasu uzupełnił brakujące wyposażenie, wyremontował i uruchomił zakład.

Dekretem dziedzictwa z dnia 11 kwietnia 1905 r. Anna Schutzer przekazała młyn górny po połowie braciom Laks. Na podstawie aktu z 19 lipca 1909 r. Herman Leiba Laks przekazał swoją część Salomonowi Izakowi Laksowi, który kontraktem sprzedaży z dnia 16 czerwca 1910 r. sprzedał całą nieruchomość (łącznie z młynem) Gminie Miasta Nowego Sącza za cenę 36.000 marek. Magistrat zakupił budynek młyna na potrzeby mającej się zawiązać spółki stolarskiej. Wykonano niezbędne prace adaptacyjne, zamontowano nowe urządzenia techniczne i uruchomiono zakład stolarski. Do 1913 r. właścicielem zakładu stolarskiego było Miasto Nowy Sącz, które w lipcu 1913 r. wynajęło zakład nowo powstałemu Stowarzyszeniu Warsztatowemu Stolarzy. W 1922 r. Stowarzyszenie przyjęło nazwę Spółka Stolarska „Rozwój”, przy czym czynsz dzierżawny z pomieszczeń służbowych oraz z młyna nabytego od Laksa wynosił 47.100 marek. W następnych latach wysokość dzierżawy uległa zwiększeniu, aż do 1.200.000.000 marek w 1924 r. Po przeprowadzeniu reformy monetarnej czynsz wynosił 1000 zł. Spółka Stolarska „Rozwój”



Dawny młyn górny



Dawny młyn dolny

proceedziła stolarnię do 1937 r. W połowie lat trzydziestych wyniki ekonomiczne spółki były złe, co zmusiło władze miejskie do poszukiwania nabywców ogromnego budynku stolarni. Z oferty tej skorzystali bracia Stefan i Eugeniusz Boruchowie, którzy prowadzili niewielki zakład stolarski w wynajętych pomieszczeniach na Boconiu, w pobliżu byłej marmoladziarni. Sprzedali swój dom mieszkalny przy ul. Hallera i w 1937 r. kupili za 27 tys. zł stolarnię. Rok później zamieszkali w budynku i uruchomili własny zakład – stolarnię mechaniczną meblowo-budowlaną.

W czasie II wojny światowej obydwaj bracia i ich prawie osiemdziesięcioletni ojciec zostali aresztowani. Starszy Stefan przebywał w więzieniu w Nowym Wiśniczu, ojciec z synem Eugeniuszem więzieni byli przez Heinricha Hamanna w Nowym Sączu. Po dwóch latach wszyscy trzej zostali zwolnieni. Stolarnię w czasie wojny prowadził volksdeutsch Stefan Werchstein, u którego pracowała ludność pochodzenia niemieckiego (produkowano m.in. skrzynki na amunicję).

Po zakończeniu działań wojennych bracia Boruchowie ponownie uruchomili zakład. Z powodu trudności zaopatrzeniowych w drewno i narzędzia oraz wysokich domiarów w 1950 r. wstrzymali produkcję i wydzierżawili stolarnię Miejskiemu Przedsiębiorstwu Robót Budowlanych. Stan ten trwał do 1953 r., kiedy to Ministerstwo Przemysłu Drobego i Rzemiosła przejęło stolarnię pod przymusowy zarząd państwowy i oddało go w użytkowanie Nowosądeckim Zakładom Przemysłu Terenowego. Upaństwowione zostało 50 proc. nieruchomości: część budynku i całe wyposażenie stolarni, z tym że rodzina Boruchów mogła dalej zajmować mieszkanie na I piętrze. Dyrektor Zakładów Terenowych Marian Zieliński nie zatrudnił w stolarni prawowitego właściciela Eugeniusza Borucha, który znalazł sobie pracę w Spółdzielni Rękodzieła Artystycznego i Ludowego „Przełom”, zajmującej dawny młyn Jenknera.

Ponieważ Zakłady Terenowe nie remontowały zajmowanego budynku, wobec tego po kilkunastu latach nie spełniał on wymogów bezpiecznego użytkowania. W tej sytuacji w 1970 r. stolarnia została przeniesiona do Kamionki Wielkiej. Przenosząc zakład, zabrano pełne wyposażenie stolarni: maszyny, urządzenia i narzędzia. Cała nieruchomość Boruchów została upaństwowiona w 1972 r. Od tego roku lokal został zamieniony na magazyny przedsiębiorstwa „Ruch”, które zajmowało go przez 18 lat. W 1990 r. rodzina Boruchów odzyskała budynek. Nie remontowany przez czterdzieści lat znajdował się w stanie ruiny, a po najnowocześniejszym niegdyś wyposażeniu stolarni nie pozostał nawet ślad.



Johann Johannides (Johan Johannides). Najstarszy spis członków gminy ewangelickiej w Nowym Sączu z lat 1800–1801 zawiera nazwiska osiemnastu rodzin pochodzenia niemieckiego, wśród których widnieje nazwisko Johannides. Najbardziej znanym przedstawicielem tej rodziny był Johann Johannides, który – jak wynika to z Księgi Protokołów Rady Miejskiej – sprawował urząd burmistrza Nowego Sącza przez dwa lata, od czerwca 1870 r. do połowy roku 1872.



Johann Johannides z zawodu był majstrem kotlarskim. Historycy zaliczają go (tak jak i pozostałych burmistrzów epoki autonomicznej) do troskliwych gospodarzy miasta, przypisując mu zasługę wybrukowania Rynku kamieniem, na co przeznaczyć miał swoje burmistrzowskie wynagrodzenie. „[...] cieszył się w Nowym Sączu dużym autorytetem, dbał o jego interesy, starał się o podniesienie gospodarki i wyglądu miasta. Był przy tym człowiekiem skromnym”. Warto nadmienić, iż w okresie sprawowania przez Johannidesa funkcji burmistrza miało miejsce otwarcie Seminarium Nauczycielskiego, które funkcjonowało w Nowym Sączu przez kilka najbliższych lat (w lokalu wynajętym przez dr. Onufrego Trembeckiego), zanim zostało przeniesione do Tarnowa; założona została też w Rynku druga w mieście apteka.

Jedną z przykrejszych spraw w okresie kadencji burmistrzowskiej Johannidesa była konieczność zwolnienia kancelisty magistrackiego Władysława Iskrewicza, który dopuścił się sprzeniewierzenia pieniędzy urzędowych na sumę 485 złr. i 29 c. Decyzję o „suspensacji” urzędnika powzięła Rada Miasta 24 sierpnia 1871, podejmując uchwałę o oddaleniu kancelisty ze służby.



Walenty Brzeski. Pierwsze posiedzenie Rady Miejskiej Nowego Sącza pod przewodnictwem Walentego Brzeskiego odbyło się 28 sierpnia 1872 r. Rządy burmistrzowskie Brzeskiego nie trwały długo – zaledwie rok – jako że już we wrześniu 1873 r. najwyższy urząd miejski objął po nim Ignacy Płochocki. Należy stwierdzić, iż w chwili objęcia stanowiska burmistrza Walenty Brzeski był zupełnie dobrze zaznajomiony ze sprawami administracyjnymi Nowego Sącza, choćby z tego powodu, że za kadencji swojego poprzednika, Johanna Johannidesa, sprawował funkcję zastępcy burmistrza, a we wcześniejszych latach należał do aktywniejszych członków Rady Miejskiej.



Walenty Brzeski był właścicielem majątku na Gorzkowie, ale jego właściwym zawodem było krawiectwo. W krótkim okresie zarządzania sprawami Nowego Sącza nie zapisał się jakimś szczególnym osiągnięciem. Pod jego przewodnictwem Rada Miasta zajmowała się wieloma codziennymi sprawami, wśród których najwięcej miejsca zajmowała propinacja, znajdująca się głównie w rękach żydowskich, pobór tzw. „kopytkowego” na rogatkach miasta, zapewnienie kwater dla zwiększającego się stanu osobowego 20. pułku piechoty.

Budżet roku 1873 pokazuje, że władze miasta z trudem zaspakajały potrzeby mieszkańców Nowego Sącza. Świadczy o tym wyraźna nierówność pomiędzy przychodami a rozchodami; te pierwsze szacowane były na blisko 35 tysięcy reńskich, gdy tymczasem po stronie wydatków widniała suma opiewająca na grubo ponad 42 tysiące ówczesnej waluty austriackiej. Warto przy tej okazji odnotować, iż główną pozycję w dochodach stanowiły dochody z praw i przywilejów miejskich, w czym mieściła się dzierżawa wspomnianej propinacji, a także targowego; w wydatkach zaś znajdowały się m.in. koszty zarządu miejskiego i utrzymanie dóbr, w tym m.in. roczne zarobki burmistrza – 600 złr. plus przydział drzewa opałowego; sekretarza Rady Miejskiej – 600 złr. plus dodatek osobisty; sierżanta straży policyjnej – 200 złr.; oprawcy stałego, tudzież stróża nocnego – w obydwu przypadkach po 84 złr.

Ignacy Płochocki. Z zawodu był krawcem; został wybrany na stanowisko burmistrza Nowego Sącza 3 września 1873 r. Wysoki urząd miejski pełnił przez ponad dwa lata, do grudnia 1876 r., kiedy to ustąpił godności burmistrzowskiej dr. Włodzimierzowi Olszowskiemu.



W czasie kadencji burmistrzowskiej Płochockiego Rada Miasta borykała się głównie z typowymi sprawami bieżącej administracji, jakkolwiek rajcom miejskim przyszło w tym czasie zajmować się również bardziej dalekosiężnymi planami. Z świetnie zachowanych protokołów z posiedzeń Rady Miejskiej wynika, iż obok spraw powszednich, takich jak: licytacje, dzierżawy i regulowanie bieżących wydatków gminnych, podejmowano również kwestie mniej typowe, wymagające większej wyobraźni i umiejętności patrzenia w dalszą przyszłość. Wspomnieć w tym miejscu należy przede wszystkim o sprawie lokalizacji w Nowym Sączu dworca kolejowego, którego budowa dzięki stanowisku Rady Miejskiej zaplanowana została korzystnie, tj. bliżej miasta aniżeli początkowo przewidywano. Z całą pewnością burmistrzowi i całej Radzie Miejskiej bardzo zależało na załatwieniu tej sprawy zgodnie z interesem Nowego Sącza, skoro zwierzchność miejska podjęła wówczas zobowiązanie, iż miasto przejmie na siebie połowę kosztów w celu zbudowanie drogi z Grodzkiego do dworca, po to by ten był „zbliżony do miasta”.

Do spraw istotnych zaliczyć należy również owocne starania magistratu odnośnie budowy szkoły żeńskiej (o czym świadczy przyznanie na ten cel Nowemu Sączowi przez Radę Szkolną Krajową dotacji w wysokości 8 tys. złr.), a także odrzucenie propozycji Róży Kaweckiej z baronów Brunickich co do kupna przez miasto będącej w jej posiadaniu realności na potrzeby kwaterującego wojska.

Z rzeczy mniej ważnych i całkiem drobnych, wspomnijmy o przeznaczaniu 50 reńskich na rzecz ubogich mieszkańców Nowego Sącza z oka-

zji 25-lecia wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa; skonfiskowaniu Jakubowi Gellerowi beczułki z wódką za to, że na Kunowie „na obszarze dworskim do miasta należącym obok trasy kolei żelaznej wyszynk samowładnie prowadził”; przekazaniu kwoty 50 złr. dla pogorzalców z Piwnicznej; tudzież o postanowieniu odnośnie „konia siwego, który oślepił i jako niezdatny do pociągu sikawek straży ogniowej, winien być sprzedany na jarmarku w Starym Sączu za kwotę 48 reńskich”.

*

Włodzimierz Olszewski. Pierwsze posiedzenie Rady Miejskiej Nowego Sącza pod przewodnictwem nowego burmistrza dr. praw Włodzimierza Olszewskiego miało miejsce 11 stycznia 1877 r., ostatnie zaś na początku r. 1887, do czasu wyboru na jego następcę Karola Sławika. W porównaniu do krótkich kadencji swoich poprzedników adwokat Olszewski długo sprawował zarząd nad sprawami Nowego Sącza, przy czym niewątpliwie był to okres obfitujący w ważne dla miasta inwestycje i plany, mające zaważyć nad jego dalszym rozwojem.



Na podstawie protokołów i uchwał Rady Miejskiej można stwierdzić, że najważniejszymi sprawami podejmowanymi przez zwierzchność magistracką w interesującym nas dziesięcioleciu były kwestie dotyczące kwatrowania wojska, lokalizacji nowego cmentarza, założenia parku miejskiego, budowy kolei transwersalnej, położenia płyt chodnikowych na niektórych ulicach miasta, przeprowadzenia ulicznych kanałów ściekowych. Należy zauważyć, iż wiele z podejmowanych wówczas zamierzeń zostało sfinalizowanych za rządów burmistrza Olszewskiego, któremu wraz z Radą Miejską można przypisać zasługi odnośnie powstania Ogrodu Miejskiego, ukończenia budowy Szkoły Żeńskiej im. Św. Jadwigi, uzyskania od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych koncesji na odbywanie w Nowym Sączu corocznie czterech jarmarków. Należy odnotować, że w tym właśnie czasie podjęto również budowę koszar dla 20. pułku piechoty i przedsięwzięto

poważne zabiegi celem utworzenia nowego cmentarza, którego powstanie ze względu na wymogi sanitarne stawało się dla miasta problemem wyjątkowo palącym.

Dokumenty źródłowe pokazują także, jak wiele uwagi Rada Miasta poświęcała różnego rodzaju obchodom rocznicowym, szczególnie zaś tym, które dotyczyły rodziny cesarskiej. Z wielką skrupulatnością odnotowywano uchwały rajców nowosądeckich mające uświetnić na przykład 25-letnią rocznicę „zaślubin małżeńskich Ich Cesarskich Mości przypadającą na dzień 24 kwietnia 1879 r.”, co wyrazić się miało udziałem *in gremio* Rady Miejskiej w nabożeństwie kościelnym oraz urządzeniem w mieście iluminacji, podobnie zresztą jak i dwa lata później w przypadku ślubu arcyksięcia Rudolfa (następcy tronu) z królowną belgijską Stefanią. Z równie wielką atencją traktowano inne osobistości państwowe, choćby związanego z Nowym Sączem Juliana Dunajewskiego, z racji powołania go na stanowisko Ministra Skarbu w rządzie austriackim.

Do spraw ciekawych, niekiedy także zabawnych, z jakimi przyszło zetknąć się Radzie Miejskiej pod przewodnictwem burmistrza Olszewskiego, zaliczyć możemy: zamiar urządzenia w Nowym Sączu przez Akademię Umiejętności stacji meteorologicznej, „w miejsce naprzód w Podegrodziu istniejącej”; skargę wniesioną przez oo. Jezuitów przeciwko magistratowi w sprawie udzielenia Naftalemu Dormannowi pozwolenia na postawienie wychodka przy murze cmentarza kościoła ponorbertańskiego; a także zarządzenie stwierdzające, że „kto na publicznej drodze, na ulicy lub placu publicznym w stanie nietrzeźwym, zachowa się niespokojnie, lub z nadmiernego użycia napojów rozgrzewających, choćby zachowywał się spokojnie, popadnie w ubezwłasnowolnienie sił fizycznych lub w bezprzytomność, ulega karze pieniężnej w wysokości 15 reńskich lub karze aresztu do dni pięciu”.

*

Karol Sławik. Lekarz z zawodu (z pochodzenia Czech) został wybrany burmistrzem Nowego Sącza 28 marca 1887 r. W tym samym dniu Rada Miasta w komplecie 36 członków wybrała sześciu asesorów: Walentego Brzeskiego (byłego burmistrza), dr. Leona Bersona, Ludwika Dobrowolskiego, Lucjana Lipińskiego, Aarona Nebenzahla oraz Marcina Stubera. Ponowny wybór dra Sławika na stanowisko burmistrza dokonał się 17 marca 1892 r., przy czym tym razem do zespołu najbliższych współpracowników burmistrza wybrano: Lucjana Lipińskiego (jako zastępcę), ponownie Leona

Bersona i Aarona Nebenzahla, oraz Romana Jakubowskiego, Aleksandra Konrada i Andrzeja Ligaczewskiego.

W siedmioletnim okresie burmistrzowskich rządów dr. Karola Sławika Nowy Sącz rozwijał się w sposób widoczny. Należy odnotować, że rządy zwierzchności miejskiej doprowadziły w tym czasie do zrealizowania budowy koszar na Grodzkim, otwarcia nowo założonego cmentarza na przedmieściu „młyny hamry”, zorganizowania Ogrodu Jordanowskiego na Wólkach, przeprowadzenia wielkich zalesień w Żeleźnikowej, Paszynie i Falkowej. Odnotujmy też, iż władza miejska zaangażowała się w projekt przebudowy ul. Tarnowskiej, podjęła sprawę budowy rzeźni, rozpoczęła dyskusję na temat konieczności budowy nowego szpitala.



Wiele uwagi poświęcono też ważkim rocznicom i jubileuszom. Wprawdzie w przypadku 40. rocznicy wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa „Jego Cesarska i Królewska Apostolska Mość raczył najmiłościwiej objawić życzenie, by zaniechano uroczystego obchodu i ograniczono się do aktów dobroczynności”, ale przy dwóch dalszych okazjach rocznicowych: 600-lecia Nowego Sącza i 100-lecia uchwalenia Konstytucji 3 Maja, nie hamowanych już czynnikami zewnętrznymi, postępowano z rozmachem i dostojeństwem, z odbyciem nadzwyczajnych sesji uświetniających jubileusze.

Okres rządów burmistrza Sławika znaczył się w historii miasta, niestety, także wydarzeniami tragicznymi, dwoma wielkimi pożarami, z których szczególnie drugi, z 17 kwietnia 1894 r., spowodował straszliwe wręcz zniszczenia. Straty, jakie poniosło wówczas miasto (spłonął m.in. ratusz) pogłębione zostały przez karygodne zaniedbania straży ogniowej, której „sikawki były zapchane piaskiem, w beczkach przed wybuchem ognia nie było wody, a na strychu ratuszowym znajdowały się sienniki”.

Burmistrz Karol Sławik zmarł w trakcie swojej kadencji, w listopadzie 1894 r., na skutek zakażenia krwi w wyniku skaleczenia doznanego podczas udziału akcji przeciwpożarowej.

*

Lucjan Lipiński. Burmistrzowskie rządy Lucjana Lipińskiego rozpoczęły się oficjalnie w listopadzie 1894 r., po jednogłośnym wyborze tego energicznego notariusza na najwyższy urząd miejski, z tym, że sprawy Nowego Sącza znalazły się w jego rękach już kilka miesięcy wcześniej, co miało związek z pogarszającym się stanem zdrowia Karola Sławika, bezpośredniego poprzednika Lipińskiego na stanowisku burmistrza. Zarządzanie sprawami Nowego Sącza pozostawało w gestii Lucjana Lipińskiego przez 5 lat, do roku 1899, które to pięciolecie zaliczyć należy do okresów najbardziej efektywnych pod względem podjętych inwestycji komunalnych, i to w perspektywie całej XIX-wiecznej historii miasta.



Intensywny ruch budowlany wiązał się w tym czasie nie tylko z poczynaniami burmistrza Lipińskiego, ale wynikał również z konieczności, jakie podyktowane były wielkimi zniszczeniami poczynionymi przez katastrofalne pożary w roku 1890 i 1894. Chociaż podejmowanych spraw było wiele, o czym świadczyło m.in. sporządzenie przez inżyniera Marcina Maślankę planu regulacji i kanalizacji miasta (zakładającego m.in. 12-metrową szerokość ulic łącznie z chodnikami), to jednak najwięcej kontrowersji budziła forsonowana przez burmistrza kwestia wybudowania w Rynku nowego ratusza. Rozbudzonych emocji w tej sprawie dowodziła ognista dyskusja tocząca się na łamach miejscowej prasy, uwidaczniająca się w artykułach „Mieszczanina”, który wyluszczał swą opinię następująco: „Miasto nasze ubogie, zadłużone, bez przemysłu większego, zatem dobra gospodarka zaleca wybudowanie domu wygodnego [...], lecz nigdy rzeczy zbyt kownych, na jakie kusić się mogą stołeczne miasta”. Dodajmy, że z punktu widzenia „ratuszowych” planów burmistrza Lipińskiego jeszcze większą trudność sprawiało w tej kwestii twarde, opozycyjne stanowisko części radnych, którzy do końca, ale jednak na próżno, sprzeciwiali się projektowi budowy magistratu wg założeń budowniczego miejskiego Jana Perosia.

Oczywiście wybudowanie nowego ratusza listy dokonań burmistrza Lipińskiego nie zamykało, przeciwnie jedynie efektownie ją otwierało. Współczesny historyk w oparciu o sprawozdanie za lata 1894–1899 podsumowywał je następująco: „[...] w okresie intensywnej odbudowy po pożarze zbudowano 149 nowych domów, w większości (poza Zakamienicą) murowanych; w ich liczbie znalazły się wprawdzie tylko 4 kamienice dwupiętrowe, lecz już znacznie więcej (49) kamienic i domów jednopiętrowych”. Należy w tym miejscu uzupełnić, że w tym samym czasie przeprowadzono rozbudowę koszar wojskowych; odsłonięto na Plantach pomnik Adama Mickiewicza i dokonano kolaudacji szkoły, której nadano imię wielkiego wieszcza; zrealizowano budowę kościoła kolejowego p.w. św. Elżbiety; odnowiono zniszczony pożarem kościół Świętego Ducha; utworzono szkołę im. Władysława Jagiełły w pobliżu stacji kolejowej.

Przypominając postać Lucjana Lipińskiego nie sposób przy tej okazji nie wspomnieć o jego zasługach położonych na rzecz oddziału nowosądeckiego Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. W tym miejscu nadmienimy tylko, że druh Lipiński był współzałożycielem (1887) i pierwszym prezesem tej kulturotwórczej i patriotycznej organizacji promieniującej na całe życie społeczne Nowego Sącza, stojąc na jej czele jeszcze kilka lat po ustąpieniu z urzędu burmistrza, aż do roku 1904.

★

Władysław Barbacki. Objął urząd burmistrza w 1900 r. i zajmował to stanowisko do 1918 r., z tym że w okresie I wojny światowej (po jego wyjeździe do Wiednia) zarząd miasta faktycznie spoczywał w ręku Wiktora Olekso, ówczesnego wiceburmistrza. Dokonując bilansu rządów Władysława Barbackiego należy je uznać za kontynuację dzieła Lucjana Lipińskiego. Różnica polegała jednak na tym, że nowy burmistrz rozbudowę i modernizację Nowego Sącza realizował na jeszcze większą skalę aniżeli jego poprzednik, przykładając przy tym bar-



dzo wiele uwagi do wprowadzenia w mieście nowoczesnych urządzeń komunalnych.

W krótkim rysie biograficznym nie sposób zawrzeć nawet części dokonań tego niezmiernie zasłużonego dla Nowego Sącza człowieka. Niewątpliwie jednak w burmistrzowskim życiorysie dr. Władysława Barbackiego (z zawodu prawnika) nie może zbraknąć wzmianki na temat pierwszoplanowych z punktu widzenia rozwoju miasta inwestycji, do których zaliczyć należy budowę kanalizacji i wodociągów oraz zaprowadzenie elektryczności. Zaznaczyć warto, że realizacji tych projektów towarzyszyło m.in. zlokalizowanie terenów wodonośnych w Świniarsku, jak również wybudowanie Miejskiego Zakładu Energetycznego. Równie doniosłe znacznie miało zrealizowanie w 1906 r. wcześniejszych planów zorganizowania nowego szpitala przy ul. Młyńskiej, zaprojektowanego na 92 łóżka. Rzeczą ciekawą ze współczesnego punktu widzenia jest również to, że w tamtym okresie, ściślej w 1905 r., doszło do częściowej odbudowy zamku, czego dokonano w oparciu o projekt Zenona Remiego.

Z wielu dalszych poczynąń burmistrza można wymienić choćby udział Władysława Barbackiego w powołaniu komitetu budowy Kaplicy Szkolnej (powstałej w 1912 r.), dalszą rozbudowę koszar, uruchomienie kilku szkół (w tym 4-klasowej męskiej im. S. Konarskiego i 4-klasowej żeńskiej im. Klementyny z Tańskich Hoffmanowej), wybudowanie dworca kolejowego, który zastąpił stosunkowo skromną stację istniejącą od lat siedemdziesiątych. Uzupełnijmy, że wiele z wymienionych inwestycji mogło powstać dzięki zapobiegliwości burmistrza, który potrafił wykorzystać pomysły sytuacji finansową państwa austriackiego dla zaciągnięcia niskoprocentowych a długoterminowych pożyczek.

Pomimo niekwestionowanych zasług, Władysławowi Barbackiemu nie brakowało nieprzejeźdźnych wrogów. „Należeli do nich socjaliści. Niechęćne były mu też pewne osoby skupione wokół «Sokoła» [...]. Socjaliści odgrzali się nawet zamachem na osobę Barbackiego. Z tego powodu ustąpił zaraz po wojnie ze stanowiska burmistrza”.

Dodajmy, że 22 listopada 1992 r. podczas obchodów 700-lecia Nowego Sącza odsłonięto tablica upamiętniającą osobę wybitnego nowosądecka-nina. Tablica ta wmurowana została w zewnętrzną ścianę kościoła Świętego Ducha; jej tekst w ostatnim zdaniu nawiązuje do religijnej postawy burmistrza jako długoletniego prefekta Sodalicii Mariańskiej odznaczonego orderem *Pro Ecclesia et Pontifice*.

Literatura i źródła

1. Protokoły Rada Miasta Nowego Sącza z lat 1866–1939 – Archiwum Państwowe w Krakowie Oddział w Nowym Sączu.
2. Zbigniew Beiersdorf, Bogusław Krasnopolski, *Przekształcenia urbanistyczne, architektura i sztuka*, w: *Dzieje miasta Nowego Sącza*, t. II, pod red. Feliksa Kiryka i Stanisława Płazy, Kraków 1993.
3. Julian Buda, *Stosunki samorządowe*, tamże.
4. Julian Dybiec, *Skarbowość i budownictwo komunalne*, tamże.
5. Julian Dybiec, *Życie gospodarcze*, tamże.
6. Julian Dybiec, *Mieszkańcy*, tamże.
7. Julian Dybiec, *Szkolnictwo*, tamże.
8. Lucjan Lipiński, *Sprawozdanie z zarządu miasta Nowego Sącza za czas od 13 listopada 1894 r., po koniec roku 1899*, Nowy Sącz 1900.



Zbigniew Maciejowski

GNIAZDO SOKOŁA W GRYBOWIE (RYS HISTORYCZNY)

Początek Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Grybowie przypadł na rok 1891, kiedy to ukonstytuowały się jego władze założycielskie. Na patrona miejscowego gniazda wybrano Tadeusza Kościuszkę. Założycielami byli między innymi: Wincenty Węgrowski i Stanisław Michałowski – radcy skarbowi oraz Antoni Haimann – nauczyciel. Prezesem wybrano A. Waligórskiego. Siedziba Towarzystwa mieściła się w nie istniejącym dziś budynku Straży Ogniowej przy ulicy Siolkowskiej, obecnie dr. Adama Jakubowskiego.

Towarzystwo stawiało sobie za cel integrację społeczeństwa i wzmacnianie świadomości narodowej. Służyć temu miał rozwój kultury fizycznej, wychowanie patriotyczne, organizowanie czytelní i bibliotek, a także wycieczek krajoznawczych, zabaw towarzyskich i obchodów patriotycznych. Nie inaczej było w Grybowie. W mieście tym powstał chór i amatorski zespół aktorski, a także znana na terenie całego powiatu orkiestra pod dyktacją kierownika sekcji artystycznej „Sokoła” Ryszarda Kosińskiego.

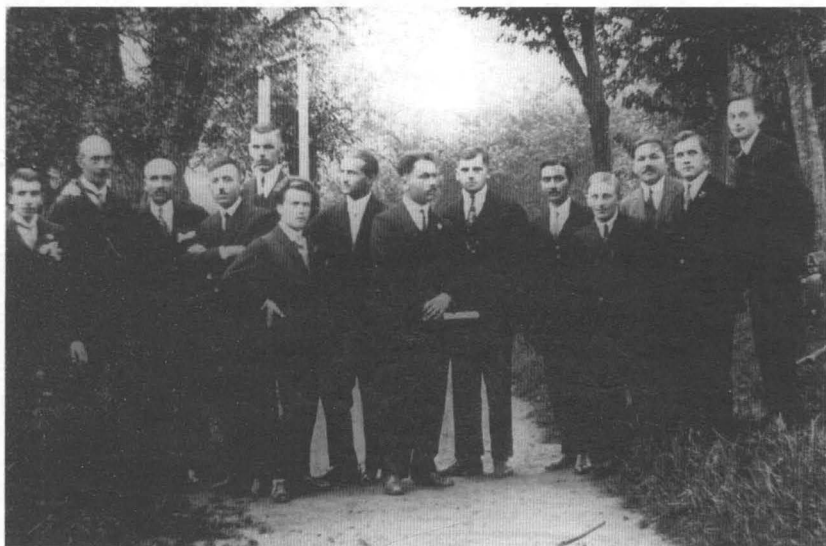
W 1906 r. rozpoczęto w Grybowie starania o budowę własnej siedziby Towarzystwa Gimnastycznego, którą rozpoczęto dwa lata później. Fundusze zdobywano w drodze składek i darowizn, podczas festynów, balów i innych imprez organizowanych przez miejscowe gniazdo „Sokoła”. Grunt pod budynek podarowała rodzina Motykiewiczów oraz Urząd Miejski.

W 1910 r. budowę zakończono. Sokolnia posiadała obszerną salę gimnastyczną ze sceną, na której występował miejscowy zespół teatru amatorskiego oraz chór. Wykonawcą budynku był Roman Olszewski – inwestor

budowlany, budowniczy kościoła parafialnego w Grybowie, a także kościołów Stróżach i Gródku.

W tym samym roku w Grybowie hucznie obchodzono pięćsetną rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Jej głównym organizatorem w mieście było miejscowe gniazdo sokole. W 1911 r. odbył się w Grybowie zlot sokoli. Liczba członków miejscowego gniazda wynosiła wtedy ok. 50 osób. W obchodach 50. rocznicy powstania styczniowego (styczeń 1913) organizowanych przez T.G. „Sokół” wzięło udział ponad 5 tys. osób z terenu całego powiatu grybowskiego. Odślonięto wtedy krzyż z tablicą pamiątkową (istnieje do dziś nieopodal „figurki” na zachodnich krańcach miasta przy drodze do Nowego Sącza). W tym samym roku poświęcono nowo ufundowany sztandar gniazda sokolego w Grybowie. Sztandar ten z jednej strony przedstawiał wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej z napisem: „Królowo Korony Polskiej módl się za nami”, z drugiej strony wyszyty był na nim sokół siedzący na ciężarkach gimnastycznych. Prezesem miejscowego gniazda był podówczas aptekarz Hodbod, a wiceprezesem lekarz dr Wierzbicki.

Jednocześnie, przez cały czas istnienia gniazda, trwały ćwiczenia grybowskiej Drużyny Sokolej, obejmujące gimnastykę, strzelectwo i terenoznawstwo. Zadaniem miejscowej drużyny, tak jak wszystkich innych w Towarzystwie Gimnastycznym, było działanie w kierunku stworzenia pod-



Chór TG „Sokół” w Grybowie

walin pod armię narodową – przyszłe Wojsko Polskie. W sierpniu 1914 r. w budynku Sokola, na bazie miejscowej drużyny i członków Strzelca, zorganizowano punkt werbunkowy dla ochotników do Legionów Polskich, którymi opiekowały się panie członkinie gniazda w Grybowie.

W czasie I wojny światowej Towarzystwo Gimnastyczne w Grybowie zawiesiło swoją działalność. Budynek zajęły władze wojskowe, najpierw rosyjskie (w okresie od października do listopada 1914), później austriackie. W tym czasie w Grybowie, leżącym na bliskim zapleczu frontu, mieściło się aż 18 szpitali wojskowych, z których jeden znajdował się w budynku „Sokola”.



Kongres Eucharystyczny – marsz „Sokola”, Grybów 1934

W listopadzie 1918 r. w grybowskiej sokolni, podobnie jak w 1914 r., zorganizowano ochotniczy oddział Wojska Polskiego, przeznaczony do ochrony południowej granicy państwa. Jego dowódcą został nauczyciel z Białej Niżnej, porucznik Grzybowski. W 1919 r. powrócono do działalności statutowej. Prezesem został sędzia dr Antoni Haimann. Od 1927 r. w skład „Sokola” wszedł założony w 1920 r. Klub Sportowy „Grybovia”, w którym została utworzona sekcja piłki nożnej. W 1928 r. w budynku Towarzystwa powstało stałe kino, z przebudowaniem gmachu na potrzeby kinematografu.

W czasach II Rzeczypospolitej całe życie kulturalne miasta skupiało się w „Sokole”, który organizował uroczystości patriotyczne, występy teatru

amatorskiego oraz chóru, kwesty, bale składkowe. W siedzibie Towarzystwa Gimnastycznego odbywały się m.in. obchody 10. rocznicy odzyskania niepodległości, a także 50-lecia Straży Ogniovej (1932). Działała biblioteka. Cały czas funkcjonowało kasyno, gromadząc grybowską inteligencję. W styczniu 1939 r. w budynku grybowskiego „Sokoła” odbył się zjazd samorządowy powiatu nowosądeckiego.

W czasie okupacji 1939–1945 budynek „Sokoła” został zajęty przez Niemców, którzy urządzili w nim kasyno wojskowe. Bibliotekę rozproszono a archiwum zniszczono. W 1945 r. budynek uległ dewastacji podczas działań frontowych. W 1946 r. przy pomocy byłych członków gniazda (m.in. Z. Maciejowskiego, byłego skarbnika TG) w naprędcie uporządkowanym „Sokole” odrodził się teatr amatorski pod kierownictwem dentystry Jerzego Gostwickiego (późniejszego wieloletniego i bardzo zasłużonego dla Grybowa przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej). Budynek przeszedł na własność miasta, powstało w nim kino „Biała”, jedno z najnowocześniejszych w całym województwie krakowskim. Dyrektorem kina został Włodzimierz Olszewski. W tym okresie (lata sześćdziesiąte) dobudowano nową część z holem i antresolą.

Literatura i źródła:

1. A. Pankowicz, *Analiza funkcjonowania miasta powiatowego. Studium Grybowa 1866–1932 r.*, w: *Grybów studia z dziejów miasta i regionu*, tom III, pod red. D. Quirini-Popławskiej, Kraków 1995.
2. Archiwum Państwowe w Nowym Sączu Teczka A.m.G. nr 154.
3. Relacje ustne: J. Gostwickiego, Z. Maciejowskiego, St. Oleksiewicza.

BACA – RZECZ O ŻYCIU I SŁUŻBIE GEN. JÓZEFA GIZY

Wszyscy Polacy stają na bacność na dźwięk *Mazurka*, hymnu naszej ojczyzny, czując się wówczas jednością.

Mieszkańcy Sądecczyzny, niezależnie od faktu, jak daleko się od niej znajdują, widzą od razu swoje zielone, pełne kwiatów miasto, wstęgę Dunajca i widok pasma Radziejowej z daleką panoramą Tatr, z piękną perspektywą Sącza bez względu na to, z której strony się doń wjeżdża. To jest ich mała ojczyzna, zamieszkała przez ludzi pracowitych i uparcie przez całe wieki odbudowujących swe gospodarstwa po powodziach i innych klęskach żywiołowych, przy zachowaniu zwyczajów swojego środowiska.

Jednym z takich ludzi, połączonych silną więzią z ziemią sądecką, był Józef Giza, późniejszy generał brygady w II Korpusie gen. Władysława Andersa.

Urodzony 3 marca 1887 r. w Dąbrówce Polskiej, obecnie stanowiącej osiedle Nowego Sącza, po ukończeniu szkoły powszechnej uczęszcza do klasycznego gimnazjum im. Jana Długosza w tymże mieście. Po zdaniu matury odbywa obowiązkową służbę wojskową w c.k. armii austriackiej i od 1914 r. bierze udział w kampaniach: serbskiej, włoskiej i rosyjskiej. W 4. batalionie 20. pułku piechoty, który składał się w 50 proc. z oficerów–Polaków, na froncie włoskim w Gorycji nad Soczą dowodzi oddziałem armatek, jednocześnie baczenie obserwując swoich żołnierzy, także w chwilach wolnych od walki:

Czuwają nasze posterunki. Jedni śpią znużeni, inni pracowicie listy piszą, a to z cicha gwarzą, albo zadumani w jeden punkt patrzą a patrzą. Może im się Tatry serdecznie zwidują, może im Socza falą Dunajca szumi...¹

Jeden z jego kolegów, p. Franciszek Jarzębiński z Warszawy, pisze między innymi w liście do żony Józefa Wiktorii:

Razem służyliśmy w b. armii austriackiej w 20 pułku piechoty. Mąż Pani pełnił obowiązki dowódcy kompanii dział piechoty. Pamiętam dobrze bombardowanie jego stanowisk przez włoską ciężką artylerię, kompania poniosła duże straty w ludziach i sprzęcie... A teraz kilka przyjemnych przeżyć. Mąż miał dużo humoru, był dowcipnym i wesołym żołnierzem... W dniu 31 grudnia 1917 zorganizował spotkanie koleżeńskie oficerów–Polaków 20 pp. w suterenie murowanego domu w San Dona di Piava z okazji Sylwestra, na które szef kuchni przygotował trochę jedzenia, wina i odpowiednio umeblował izbę. Przed godziną 24.00 – a była to noc bardzo spokojna, ponieważ Włosi nie ostrzeliwali naszych pozycji na froncie – Mąż Pani stanął na środku izby i zaintonował *Góralu, czy ci nie żal...*, po czym odtąńczył pięknie taniec góralski. Za chwilę zwrócił się do nas – a było nas 12 oficerów młodszych z ziemi sądeckiej i powiatu nowotarskiego – i zaśpiewał jedną zwrotkę ułożoną przez siebie, na melodię *Kamień na kamieniu...*

Porucznik Giza był dobrym i wiernym Polakiem. W baonie zawsze mówił po polsku, prócz rozmów służbowych z austriackimi oficerami. Przede wszystkim był dzielnym żołnierzem, który walczył stale o niepodległość Polski... Nie dbał o zaszczyty i tytuły, był człowiekiem skromnym przez całe swoje życie. Zawsze uśmiechnięty i bardzo dbały o swoich podwładnych...²

W tym czasie działał też w tajnej organizacji „Wolność”, będącej ekspozyturą Polskiej Organizacji Wojskowej w szeregach c.k. armii. Ta „robotą narodowa” nie uszła uwagi austriackiego dowódcy 20. pułku piechoty:

Staliśmy na baczność, płk Richter policzkuje nas słowami: „To jest świństwo, tak robią zdrajcy i opryszki międzynarodowe!” Umilkł na chwilę, podszedł do stojącego na prawym skrzydle por. Gizy i wrzasnął: „Mój rozkaz będzie krótki: powiesić, nie rozstrzelać, tylko powiesić każe” – kilka sekund wpatrywał się w purpurową twarz porucznika, zapanowała śmiertelna cisza. Co będzie, jeśli Giza straci panowanie nad sobą? Na szczęście Giza wzrok Richtera wytrzymał [...]. Wieczorem d-ca batalionu kpt. Engelman zaprosił nas na kolację [...] atmosfera sztucznie koleżeńska, na 24 oficerów – 12 Polaków, 4 Czechów, reszta Niemcy [...]. Tyrolczycy z dumą nabijali na noże kawały kielbasy, co szczególnie irytowało Gizę [...] wyskoczył na środek izby, rzucił muzyce 10 koron i kazał zagrać arie z operetki *Polska krew*, pozazdrościli nam tego Czesi i kazali zagrać *Kde domov muj* [...]. Engelman kazał zagrać *Wacht am Rhein*, tej prowokacji nie mogliśmy znieść [...] wtedy Giza rzucił muzyce 50 koron i rozkazał Zbójnickiego [...] w przysiadach i hołubcach wybijał takty [...] ławy, krzesła i stoły poleciały pod ściany, z brzękiem rozbijały się szklanki, talerze i fłaszki [...] z betonowej podłogi

kurz wzbijał się ku górze, Giza, rosły na 1,90 góral mimo munduru oficerskiego tańczył z fantazją i siłą [...] patrzyli Niemcy ze zdumieniem na ten taniec nieokielznany [...] «Eljen Lengyel», krzyczy Madziar szowinista Betley, znany z tego, że nienawidzi Prusaków [...] muzyka zaczyna grać naszą pieśń *Boże coś Polskę*...³

A teraz służba w niepodległej Polsce. Jak pisze córka Józefa Gizy a moja matka, Maria Giza-Podgórska:

Pod koniec I wojny światowej baon zapasowy austriackiego 20 pułku piechoty miał swoją siedzibę w Tarnowie i dowodzony był przez Oberleutnanta Leopolda Goebela. Tam też meldowały się oddziały wracające z frontu włoskiego i razem z żołnierzami 32 austriackiego pułku piechoty, walczącymi dotychczas pod Verdun, stanowiły zaczątek 1 Pułku Strzelców Podhalańskich z siedzibą w Nowym Sączu. Z dniem 1 grudnia 1918 pułk wszedł w skład I Brygady Górskiej, dowodzonej przez płk. Andrzeja Galicę. Po kpt. Juliuszu Siwaku dowództwo pułku objął 25 stycznia 1919 płk Kazimierz Horoszkiewicz [...]. Rozkazem baonu zapasowego nr 1/18 z dnia 30 października 1918 zostaje Józef Giza wcielony do 1 psp jako dowódca 1 kompanii zapasowej⁴.

Jest rzeczą znaną, że na sześć formacji wojskowych, w których służył w okresie dwudziestolecia 1919–1939, trzy z nich to pułki podhalańskie:

- od 1918 do 1927 służy w 1. psp w Nowym Sączu jako dowódca kompanii zapasowej, potem adiutant i dowódca batalionu,
- od 1932 do 1935 jest zastępcą dowódcy 2. psp w Sanoku,
- od 1935 do 1938 jest dowódcą 3. psp w Bielsku.

Już jako dowódca kompanii zapasowej następująco pisze o swoich metodach pracy:

Pierwszym i najważniejszym środkiem do wychowania żołnierza jest wyrobienie w nim przekonania, że oficer pracując nad jego uświadomieniem robi to z przekonania i ukochania sprawy narodowej, z miłości do żołnierzy, z którymi chce się swoją wyższością wykształcenia i wychowania podzielić. Żołnierz musi wiedzieć, że oficer każdy, nawet najmniejszy obowiązek wypełnia poważnie, a poza służbą jest opiekunem i starszym bratem żołnierza... Jednym ze środków jest wzbudzanie poczucia ambicji. Żołnierz powinien zawsze wiedzieć, że jego kompania, batalion, pułk – są zawsze najlepsze. Niech się żołnierz podhalański nauczy kochać Podhale, potem Małopolskę, wreszcie cały kraj... Wszystkich wyżej wymienionych środków używałem jako dwuletni dowódca kompanii i byłem zadowolony ze skutków swej pracy. A także praca ta dała mi dużo wszechstronnego wykształcenia,



Kadra 6. kompanii 1. psp w Nowym Sączu, połowa lat dwudziestych.
Siedzą od prawej: por. E. Kasprzykiewicz, kpt. M. Brzeziński, kpt. J. Giza (dowódca batalionu), kpt. J. Wantuch, NN



Oficerowie 1. psp z góralami. J. Giza pierwszy z prawej



Płk J. Giza odbiera defiladę 2. psp w Sanoku



Płk J. Giza jako dowódca
3. psp w Bielsku



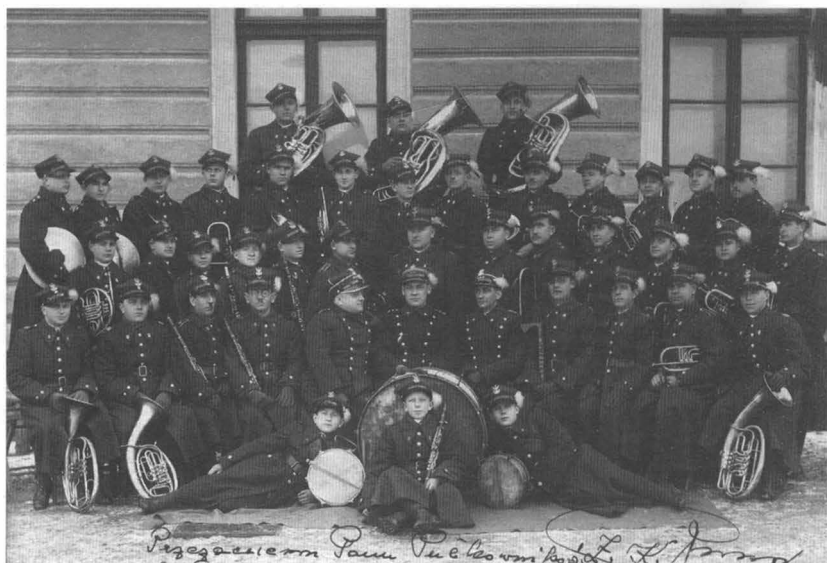
Adam Bunsch, *Pułkownik*
Józef Giza, olej, 110 X 80 cm



Święto pułkowe 3. psp w 1936 r. Płk J. Giza dekoruje odznaką pułkową dowódcę 21. Dywizji Piechoty Górskiej płk. J. Kustronia



Płk J. Giza z harcerzami podczas tej samej uroczystości



Orkiestra wojskowa 3. psp ze swoim dowódcą (siedzi w centrum za bębniem)



Plk J. Giza (siedzi trzeci od lewej) wśród oficerów 3. psp

bo chcąc kierować żołnierzem musiałem sam się kształcić pod niektórymi względami. Za największą nagrodę uważałem sobie zaufanie swoich podwładnych i bezwzględny posłuch...⁵

Kampanię 1939 r. odbywa jako dowódca piechoty dywizyjnej 55. Dywizji Piechoty z Katowic. Walczy aż do momentu rozwiązania dywizji w lasach Hrebenne, gdyż na skutek wkroczenia oddziałów sowieckich nie było już możliwości dalszych działań. Postanawia nie iść ani do niewoli niemieckiej, ani bolszewickiej, lecz przedostawać się bocznymi drogami na zachód i południe. I dalej walczyć.

Gdy 25 października 1939 r. przez granicę na Słowację przeprowadza go Józef Krzeptowski, jego dawny podkomendny z 3. psp, tak opisuje ten fakt w swoim pamiętniku:

Nim zwróciłem swe kroki na teren Czechosłowacji, popatrzyłem jeszcze raz z Wysokich Tatr na całą Polskę, cały jej urok i majestat, wspomniałem na jej wiarę, mowę, zwyczaje i obyczaje, na nieszczęścia, które na nią spadły, wreszcie na rodzinę, która pozostawiłem bez męża i ojca, bez zaopatrzenia. Trudno jest zresztą to opisać. Czytelnik niech sobie uzmysłowi, co działo się w sercu żołnierza, który w ten sposób musiał opuścić swój kraj.

Schowałem to wszystko na dno serca, w tył zwrot i z wiarą w lepsze jutro zaczęliśmy dalszy marsz w nieznanie⁶.

Zanim wrócimy do dalszych losów późniejszego generała, spójrzmy, jak widzieli go jego żołnierze, podwładni, dowódcy.

Z ostatnich dni sierpnia 1939 przypomina go Aleksander Bukko:

Pułkownik Józef Giza, dowódca Górnośląskiej Brygady Obrony Narodowej od chwili jej założenia, był człowiekiem rozważnym i spokojnym w podejmowaniu decyzji. Rosły, o silnej budowie, lekko szpakowatych włosach i z dwoma bruzdami zmarszczek przeoranej szerokiej twarzy, przypominał rozumnego baczę, który umie z każdego dnia życia więcej mądrości wyczytać, niż niejeden z najuczciwszej księgi...⁷

I ostatnia już w kraju ocena, wystawiona przez dowódcę Grupy Operacyjnej „Śląsk” w kampanii 1939 r., gen. bryg. Jana Sadowskiego:

Całą kampanię wrześniową 1939 r. pułkownik Giza przeszedł jako dowódca piechoty dywizyjnej 55 rez. dp.⁸ W czasie tej kampanii nie podlegał mnie bezpośrednio, a w drodze przez d-cę 55 rez. dp. pułkownika Stanisława Kalabińskiego. Wszystko jednak, co dowiadywałem się służbowo i słyszałem o działaniach pułkownika Gizy w czasie tej kampanii, było pełne uznania dla

zachowania się i jego postawy żołnierskiej⁹. Ostatni raz widziałem osobiście pułkownika Gizę w 1939 roku w bardzo ciężkim momencie, a jednak w pełni opanowanego i spokojnego, gdy wieczorem dnia 19 września przybył do mnie na ostatnią odprawę po rozkazy...

Latem 1965 r. przy zestawianiu wniosków na odznaczenia dla Grupy „Śląsk”, pułkownik Giza został wpisany na listę do odznaczenia Krzyżem *Virtuti Militari* IV klasy. Wobec decyzji jednak czynników odgórnych, że przebywający za granicą nie mogą być objęci wnioskami do odznaczenia w kraju, razem z szeregiem innych kolegów pułkownik Giza został z tej listy skreślony. Nie wątpię jednak, że został za granicą odznaczony odpowiednio do swych zasług i pięknej postawy żołnierskiej...¹⁰

Dowodząc innymi jednostkami, Józef Giza nigdy nie tracił kontaktu z Sądecczyną ani jej ludźmi. Wiedział, że na żołnierzach stąd się wywodzących można polegać w czasie ćwiczeń, zawodów sportowych, czy wreszcie bezpośrednio w walce. Był zawsze z nimi jednego ducha, był ich „bacz” i często przydawano mu to miano. Píše córka generała Maria:

Trzeba urodzić się na Podhalu, żeby wiedzieć, co kryje się za tym określeniem. Baca to jest opiekun, który darzy ojcowiskim uczuciem swe owce. Wyprowadza je na wypas szukając najlepszych łąk, zagania do „koszarek” broniąc przed wilkiem i niedźwiedziem. Całymi miesiącami przebywa na hali tylko z owcami i białym owczarkiem–pomocnikiem, żywi się buncem, oscypkami i żętycą. Czasami ma, a jakże, do pomocy juhasów, ale zwykle sam pomaga przychodzić na świat młodym jagniętom i leczy owce sobie tylko znanymi sposobami. Są one całym i często jedynym jego majątkiem, ośrodkiem kalkulacji na lepszą przyszłość, przedmiotem radości i dumy. A one, płochliwe i delikatne, z zaufaniem poddają się jego zabiegom. Bo baca nie tylko strzeże owiec, ale i strzyże je, oj, strzyże!¹¹

Wojenne losy Józefa Gizy nie skończyły się po przejściu granicy z Czechosłowacją. Po krótkim pobycie w obozie dla żołnierzy polskich w Selyp na Węgrzech zostaje przeniesiony do Przedstawicielstwa Wojska Polskiego w Budapeszcie jako zastępca przedstawiciela, gen. Stefana Dembińskiego.

11 maja 1940 r. zostaje wezwany do attaché wojskowego Rządu RP, gdzie przedstawiciel Rządu poleca mu wyjazd do Francji na stanowisko dowódcy piechoty dywizyjnej w 1. Dywizji Grenadierów, dowodzonej przez gen. Bronisława Ducha. 16 maja 1940 r. przejeżdża przez Jugosławię, włoski Triest, Wenecję i Turyn, aby dotrzeć do Modane we Francji.

Następuje inwazja Niemców i uderzenie od strony Belgii. J. Giza nie dociera już do przeznaczonej mu dywizji. Pośród nieopisanego chaosu

i dezorganizacji, spowodowanych niechęcią Francuzów do jakiegokolwiek obrony, dostaje się do portu Brest z zamiarem przedostania się do Anglii. Oto jego własna relacja z pamiętnika:

Osobiście przeżyłem także tragedię i o mało nie zostałem na zawsze w nurtach morza. W chwili wsiadania na okręt „Dunkierka” po prowizorycznym pomoście na skutek niezapowiedzianego odbicia okrętu od mola bez zapowiedzenia przez władze okrętowe, wpadłem do morza razem z pomostem i bagażem osobistym... zanurzyłem się dość głęboko i nie tracąc przytomności wydostałem się na powierzchnię... Równocześnie pospieszył mi z pomocą jeden z marynarzy francuskich, rzucając mi linę ratunkową... przy której pomocy wydostałem się na molo, odnosząc kilka lekkich ran na głowie, rękach i nogach od gwoździ pomostu. Straciłem cały bagaż osobisty, pamiętnik, komplet odpisów dokumentów ewidencyjnych i kwestionariuszy, legitymację osobistą, skrypty i regulaminy szkolenia, wszystkie rachunki i potwierdzenia dotyczące tak osobistych dochodów i wydatków, jak i kwot pobranych od kolegów i wysłanych rodzinom do kraju...¹²

Z wrodzonym mu poczuciem humoru, pokpiwając z samego siebie, przytacza w pamiętniku opowiadanie jednego z oficerów, który był świadkiem jego upadku do morza w Breście 18 czerwca 1940 r.

Ło górolu, co sie ucył w morzu pływać

Wycie, tak beło luto jednemu bacy, kiej musioł chyba bez te madziarskom granice. No bo jakze mu sie nie mioło krenć w środku, jak sie łobeżoł na te góry, na te hole, kany sie od małego juhasa wychowoł. Jakosi strasnie mu sie robielo łodchodź z haw z tela. Ale iść musioł. Z całym regimentem sed przecie, a wiedzioł dobrze po co idzie. Ani sie nie łobeżoł jak przesed Madziary, to te wycie co teraz Adolfowom łoske smarujom, bo cosi sie na jednym końcu zagrzola. A Adolf strasnie sie boi, zeby mu sie nie zapolila. Hale zapoli mu sie ona, zapoli, nic sie ta ło to nie turbujcie, ino naso Brygada Karpacko nabierze wienksy łochoty na ten taliański makaron.

Ba, ale? Trza teraz gwarzyć ło tem górolu, bo się może nie nauczyć pływać. Łokropnie beła bestyjo zażarto na to pływanie i tak się, wycie, pchoł cieniem do tego morza aż sie i dopchoł. Bo górol to je uparty jak nik na świecie. Nie docekoł sie nieborok zeby mógł spłacić Adolfowi swoje krziwdy. I jo sie nie docekoł, chociazem widzioł jak mu sie luto robiło, kiej sie zegnoł sem nom. Pobockoł mie i godo: „Jeno mi tam wysoko dziecie standar Podhołońców!”

Jak to tam belo stom Francyjom to godoł nie bede, bo sami dobrze wyicie. Dosik na tem, ze jeno pore dni mioł cas ucyć sie pływać a tu gadajom: Rób jak fces, ale musis być w Anglije. Poskroboł sie nas górol w głowe, no bo jakze to. Tak zaros, sie pyto. No jak trza, to trza. Ktosi mu pedzioł, zeby chyboł wartko nad morze, bo jus ceko sif na tyk, co majom jechać.

Związoł wartko dwa tobolecki, dwa ino mioł maluśkie, bo łon w Rumunije nie beł. W jednym mioł przyodziewek, a w drugim papirki – no zwyczajnie metryke, książeczke wojskowom, no i te wyicie, wyicie bo wy tys wojsko – a ka, a kielo razy, a cy som cy z wojskiem, kielo mioł pensyi w Polsce, kielo w Madziarak, kielo we Francyje, no wyicie, ten tobolecek taki troske wienksy.

Przychodzi se nas górol nad morze, a jakze, i rozglondo się, kaj jes ten sif. I tak, wyicie zacudowoł sie bo telo tam beło norodu a i baby beły. Ponieftorro to i, wyicie, nie brzyćko beła. I jus syćkie wepchały na ten sif a łon stoł dopiro na ty desce, co sie ludziska po ni dropoli na wirch. Naroz jak cosi nie gwiznie. Patrzy górol a ta bestyjo milońsko zacyno jechać. Chcioł jesce skocyć na sif i skocył, ale prościutko do wody. I zacon się, wyicie, topić. Hale z górolem to nie tak wartko. Łon mioł przecie rozkoz jechać do Anglije i jakosi mu sie to nie widziało tak chybko do Świentego Piotra. Jako umioł tak sie ratowoł i bełby sie bestyjo som nie wyratowoł, zeby nie ten wienksy tobolecek z papirkami. Bo wyicie, jak skocył to tak nim prasło we wode, ze mu te tobolecki wyleciały z paliców. Tak se medytuje – telo pisanio i nic potem. A w Anglije to sie bedom pytać a kany, a kielo razy, a cy som, cy z wojskiem, cy słonko świeciło – cy miesioncek, kiej sie topił.

Co sie ino wychynie z wody – jesce nie odetknie, a jus patrzy. Kaj jes ten tobolecek z papirkami. A to, wyicie, zwyczajnie jak na morzu, tobolecek coroz dali. Ciupaski ni mioł coby se go móg przygarnonć i tak sie pomalutku tobolecek utopił. Tymcasem, wyicie, ciapneli mu takie koło i jakosi sie wygramolił z wody. Klon strąśnie no bo co teraz worto bes tyk papirków. Guńka mokro, portki mokre, kierzce sie rozłazom, kapelusik z piórkiem podziół sie kasi we wodzie. Ale długo nie marudził, naloz inny sif, hale taki maluśki ze ich ino poru wlazło i jedzie, a ciengiem medytuje, a kany to beło, cy był som cy z wojskiem, fto ten tobolecek utopił sie pirsy, cy koło ratunkowe beło białe cy cyrwone – no zwyczajnie, jak sami wyicie, bo sie to to niejeden z was turbowoł, kiej se nie móg wspomnieć.

Tak jechoł i medytował, a ze jechoł nie wiela mni jak dwa dni i dwie nocy, to sie mu jus całkiem pokrenciło i som nie wiedziół, cy mioł jakie tobolecki cy nie, cy sie sif utopił cy łon som. I jus go desperacyja zacela chytać łod tyk śtropacyj, hale na całe szczęście dojechali do Anglije. Zaroz ich tam łotocyli te Jangliki i cosi sie strąśnie cudowali nad nimi a najwiecej nad tem ich sifem. Ale łon ta niewiele rozumioł, bo godoli jesce gorzy jak ministranty z ksi-

dziem, ino mu wyłożyli doku-
mentnie, że kie indzi to by go
zamknęli za takie śpasy, jakby
chcioł na takim małym sifie
przyjechać do Anglije. Poki-
woł nas górol ino głowom, rod
ze sie go nie pytajom cy som,
cy z wojskiem, na cyj rozkoz
i posed cem prędzej pisać od
nowa, bo to przecie bely ino
Jangliki, to darowoli mu, ale
nase mu przeciez nie darujom
nawet w Hameryce¹³.

W Anglii pełni szereg funk-
cji – od dowódcy 5. Brygady
Kadrowej Strzelców przez kie-
rownika Kursu Unitarnego dla
Kapitanów i Rotmistrzów, za-
mienionego później na Cen-
trum Wyszkołenia Piechoty,
do dowódcy obrony odcinka
Dundee w Szkocii.

21 lipca 1942 r. przybywa
na Środkowy Wschód, mianowany dowódcą 4. Brygady Strzelców, prze-
mianowanej potem na 5. Wileńską Brygadę Strzelców. Na stanowisku tym
pozostaje do 15 września 1943 r., kiedy to obejmuje funkcję Komendanta
Centrum Wyszkołenia Armii II Korpusu. Z końcem kwietnia 1944 r. odcho-
dzi na nowe stanowisko – dowódcy 7. Dywizji Piechoty, która ląduje w Bari
i staje się później odwodem dla oddziałów walczących pod Monte Cassino.
Awans na generała brygady otrzymał 25 września 1944 r.

Z okresu dowodzenia tą dywizją pamięta J. Gizę p. Helena Wiśniowska,
która zatrudniona była w CWA od 1942. Pisze ona:

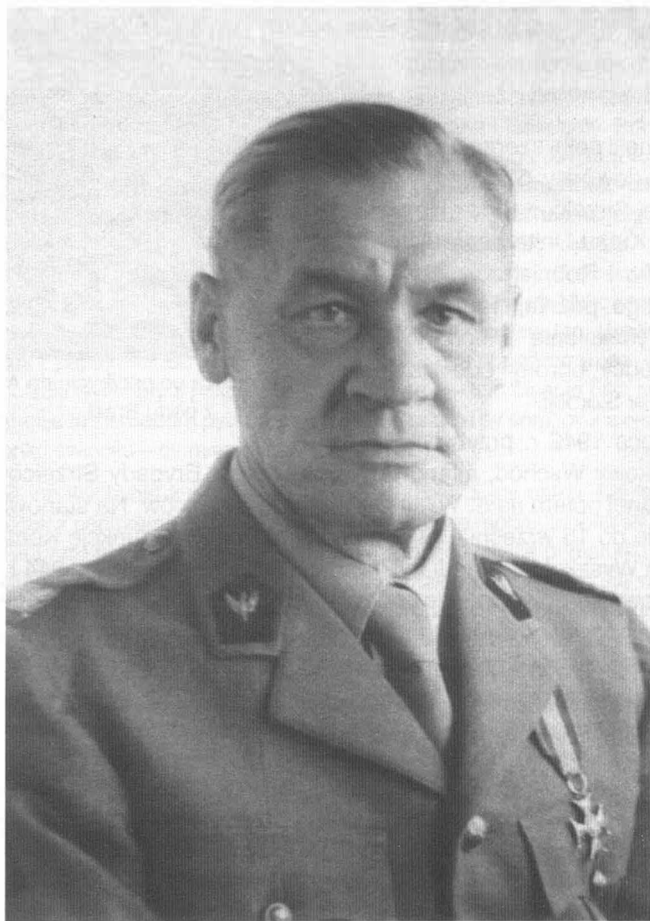
Generał Józef Giza był szeroko znany, ceniony jako wybitny wojskowy do-
wódca i organizator oraz ogromnie lubiany przez żołnierzy za jego serdeczny
do nich stosunek i popularnie zwany tata-general. Pamiętam, że otrzymał od
Włochów czarnego baranka jako prezent wielkanocny i zabierał go często
jeżdżąc samochodem po terenie. Pamiętam wysoką postać Generała, często
uśmiechniętego i przyjaciela żołnierzy w tych przecież niełatwych czasach...



Płk Józef Giza po przybyciu do Anglii
z portu Brest

Maria Giza-Podgórska, do której adresowana jest ta notatka z dnia 3 czerwca 1980 r., wspomina:

Ofiarowanie Ojcu baranka było zapewne wyrazem sympatii Włochów nie tyle – i nie tylko – dla niego, ile w ogóle dla polskich żołnierzy. Ale skąd, u licha, ci synowie słonecznej Italii, mogli wpaść właśnie na tego rodzaju pomysł? Strzelili chyba w „dziesiątkę” z tym podarunkiem dla Bacy...¹⁴



General brigady Józef Giza

Po zwycięstwie pod Monte Cassino II Korpus Polski zdobywa Ankonę i Pesaro, po czym odchodzi na miesięczny odpoczynek. Po dalszych walkach wojska polskie wkraczają do Bolonii, a 2 maja 1945 r. w miejscowości Caserta pod Neapolem podpisany zostaje akt kapitulacji przez przedstawicieli dowództwa niemieckiego i front włoski przestaje istnieć.

Gen. Giza nie bierze już w tych działaniach bezpośredniego udziału. W połowie roku zapada na malarię i zapalenie stawów, co przy istniejących już schorzeniach artretycznych powoduje załamanie organizmu. Przebywa najpierw w szpitalu w Casa Massima na południu Włoch, potem statkiem „Mauretania” wraz z innymi

chorymi i rannymi żołnierzami udaje się do 8. Polskiego Szpitala Wojskowego w Egipcie w miejscowości el-Qantara. Następnie przebywa jeszcze na rekonwalescencji w Heluanie, by wrócić do Polskiego Szpitala Wojskowego w Penley w Anglii i tutaj ostatecznie przejść do rezerwy z dniem 17 lipca 1949 r. Usiłuje jeszcze brać udział w życiu publicznym jako członek wielu oficerskich sądów honorowych, trybunałów orzekających i instytucji rozjemczych. Ale te działania przerywane są częstymi pobytami w szpitalach polskich i angielskich: stan jego zdrowia pogarsza się ze względu na niekorzystny klimat wyspiarski, chodzi o kulach. Mieszka z synem Kazimierzem w Londynie przy Twyford Avenue 37 w dzielnicy Ealing, pisze o sobie:

Trochę czytam, słucham radia, gwizdzę i śpiewam góralską piosenkę: *Tarńcowałbym kieby móg, kieby m nie miał chorych nóg*. Ale smutek kręci się stale koło mnie...¹⁵



Karykatura dowódcy 4. Brygady Strzelców autorstwa por. R. Kopyścia, poległego pod Monte Cassino

Jednak jego zdrowie szwankuje ustawicznie coraz bardziej. Umiera 16 sierpnia 1965 r. na skutek zawału serca po operacji wrzodów na dwunastnicy. Do końca i bez ustanku tęsknił za tym kawałkiem Polski, gdzie się urodził i działał. Garść ziemi ojczystej zawiozła mu na trumnę córka Maria, której po wielu trudnościach udało się wyjechać na jego pogrzeb. Spoczywa w Londynie na cmentarzu Gunnersbury, nieopodal Pomnika Kałyńskiego.

Stary, dobry Baca już sobie teraz bez żadnych „śtropacyj” spokojnie gazduje u św. Piotra na zielonych uboczach rajuu...

¹ S. Kawczak, *Milknące echa*, Warszawa 1991, s. 101-102.

² List w archiwum rodzinnym.

³ S. Kawczak, *Milknące...*, s. 270.

⁴ M. Podgórska-Giza, *Z Sącza rodem*, Nowy Sącz 1993, s. 21.

⁵ *Sprawozdanie z II Zjazdu Referentów Oświatowych Okręgu Generalnego Krakowskiego*, Kraków 1920, s. 99 i nn.

⁶ Z pamiętnika Józefa Gizy przywiezionego przez córkę Marię.

⁷ A. Bukko, *Niechaj żywi nie tracą nadziei*, w: S. Wilczek, *Śląsk w walce*, Warszawa 1975, s. 253.

⁸ Por. opinię płk. Aleksandra Zajęca, żołnierza 23. dp., uczestnika walk pod Mikołowem: „Brygada ON «Śląsk» pod dowództwem płk. Gizy weszła z chwilą mobilizacji w skład 55. dp. i odpięła przez dwa dni uderzenia niemieckiego VIII Korpusu, stanowiąc kościć naszej obrony na odcinku Wyry – Łaziska Górne – Mokre – Śmigłowiec. Dzięki energii i doświadczeniu pułkownika została przygotowana nalezycie do tego zadania, jak również do innych zadań. Wykazała to podczas wszystkich walk aż do kapitulacji pod Tomaszowem Lubelskim”. Tenże, *Moja pierwsza bitwa*, „Dunajec” nr 35, 1986.

⁹ Por. J. Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Warszawa 1983, s. 117.

¹⁰ List gen. Jana Sadowskiego do Marii Gizy-Podgórskiej z 17 VII 1970.

¹¹ M. Giza-Podgórska, *Z Sącza...*, s. 100.

¹² Z pamiętnika Józefa Gizy.

¹³ Tamże.

¹⁴ Tamże, s. 112.

¹⁵ Z listu gen. Józefa Gizy do córki Marii z września 1950 r.

Maria Lorek

KAPLICZKI, KRZYŻE PRZYDROŻNE I FIGURY W ZAWADZIE, NAWOJÓWCE I BRZEZINACH

*W kapliczkach i krzyżach przydrożnych
dostrzegamy wysokie wartości
artystyczne uprawniające nas do
twierdzenia, że żaden z narodów nie
stworzył w tej dziedzinie nic
piękniejszego, co by różnorodnością i urodą
formy harmonizowało lepiej z otaczającą
przyrodą... są jak drogie kamienie
w pięknej oprawie...*

Tadeusz Seweryn – *Perły krajobrazu*

I.

Najstarsza kapliczka znajdowała się na rozstaju dróg do Nawojówki i Kamionki (przez rzekę Kamienicę) oraz do Nowego Sącza (przez Zawadę koło młyna Kłapholza, obecnie ul. Leona Wyczółkowskiego). Wykonana była z kamienia rzeczno, wylepiona gliną i pobielona. Ściany miała grube, zwężone przy szczycie. We wąskiej i płytkiej wnęce miał być obraz Przemienienia Pańskiego. Kapliczka rozpadła się w 1948 r.



W czasie porządkowania terenu pod nową kapliczkę znaleziono kamień z wyrytą datą 1473. Na mapie katastralnej z 1846 r. zaznaczona jest ta kapliczka, przy której odbywały się w majówki.



Wygląd kapliczki na podstawie opisu najstarszych mieszkańców

II.

Kapliczka pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego wzniesiona w 1953 r. na miejscu dawnej z 1473 r. Fundatorem i opiekunem jest Edward Bodziony i jego rodzina mieszkająca przy ulicy Bolesława Prusa 31. Kapliczka na rzucie prostokąta, wybudowana z cegły, otynkowana. Ma dwuspadowy dach kryty blachą trapezową. We wschodniej frontowej ścianie, półkoliście zamknięte wejście. U szczytu mała wnęka z wizerunkiem Chrystusa. Wejście i wnęka mają dekoracyjne obramienia z cegły. Ponadto znajdują się tablice z napisami: „Obiekt sakralny, kapliczka parafialna” oraz „Wzniesiona w 1953 r. ku chwale Przemienienia Pańskiego na miejscu kapliczki z 1473 r.” 7 października 1953 r. dokonano jej poświęcenia.





Wewnątrz kapliczki jest drewniany, ludowy, ręcznie wykonany ołtarzyk z XIX w., darowany przez rodzinę Władysława i Józefę Stelmachów.

Obrazy: Przemienienie Pańskie, Michał Archanioł, Adoracja Najświętszego Sakramentu.

Kult Matki Bożej trwa do dziś. Najstarsi mieszkańcy wspominają, jak z rodzicami gromadzili

się w maju przy kapliczce. Odmawiali Litanię Loretańską do NMP i śpiewali pieśni maryjne. Tradycja przetrwała lata. Modlitwom majowym przewodzi każdego roku Edward Bodziony.

Od 2 kwietnia 2005 r. (każdego drugiego dnia miesiąca) okoliczni mieszkańcy gromadzą się przy kapliczce na modlitwie w intencji rychłej beatyfikacji Jana Pawła II.

III.

Kapliczka słupowa, murowana, tynkowana, bielona. Nakryta jest betonową kopertową płytą. Ma kształt grubego, czworobocznego słupa, który podzielony jest płaskim gzymsem na dwie kondygnacje. W ścianach są prostokątne wnęki mieszczące obrazki i światełki. Powstanie kapliczki wiąże się w tradycji z ekspiacją zbójników-morderców. Kapliczka zaznaczona jest na mapie Miega, powstałej ok. 1780 r.

Lokalizacja: Zawada – Stara Droga, obecnie ul. Łącznik 53. Kapliczką opiekuje się Barbara Gadzina.



IV.

Figura przydrożna św. Józefa przy „Starej drodze” – obok Domu Pomocy Społecznej dla kobiet, obecnie ul. Łącznik 21.

Na czworobocznym postumencie już wcześniej stała figura św. Józefa z Dzieciątkiem na prawej ręce. Cały obiekt wykonano z piaskowca. Do 1938 r. figurę chroniły konary i gałęzie dużej, rozłożystej lipy. W stosunku do drogi było tu wzniesienie. Stałe nadsypywanie nawierzchni i wybudowanie mostku nad rzeką Łącznik, której bieg skierowano do Kamienicy, spowodowało wyrównanie terenu do poziomu podstawy postumentu.

Na mapie katastralnej z 1846 r., przechowywanej w Archiwum Państwowym w Krakowie, zaznaczono tą figurę przy działce 24/2. Ówczesnym właścicielem posiadłości był Tomasz Rawicz Czerski. Przypuszczać można, że ufundował tę figurę, gdy w 1816 r. urodził się jego syn, któremu nadano imię Józef.

Sędziwi mieszkańcy pamiętają i wspominają przeżycia związane z figurą św. Józefa. Stała ona przy głównej drodze z Jamnicy i Nawojówki do Nowego Sącza do 1963 r.



Pierwotny wygląd figury

V.



Figura ludowa stojąca na wysokim postumencie, zakończona schodkowym gzymsem. Rzeźba św. Jana Nepomucena wykonana jest z piaskowca. Fundatorem figury była rodzina Czerskich, ówczesnych właścicieli ziemskich, jako wotum za ocalenie dworu podczas powstania chłopskiego na Galicji. Figura ta była zaznaczona na mapie katastralnej z 1846 r.

Lokalizacja: Brzeziny w obrębie posesji Zarembów. W 1962 r. figura została odnowiona przez artystę-rzeźbiarza Mieczysława Bogaczyka i przesunięta w głąb ogrodu z powodu poszerzenia drogi. U podnóża figury znajduje się głaz, będący wcześniej podstawą postumentu.

VI.

Krzyż przydrożny z granitu. Na nim wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa wykonany z blachy. Według przekazu fundatorem pierwotnego, drewnianego krzyża był Teodor (1848–1916) i Olimpia (1854–1926) Latinikowie, którzy przybyli do Nawojówki z Kijowa. Krzyż miał stanowić wotum za ocalenie podczas wojny z bolszewikami w latach 1919–1920.

Na podstawie mapy katastralnej z 1904 r. można stwierdzić, że krzyż stał w tym miejscu już wtedy. Obecnie obiektem opiekują się rodziny Porębów i Kosów. W 2005 r. dokonano renowacji krzyża.

Lokalizacja: przy ulicy Nawojowskiej na pograniczu posesji 297 i 299.



VII.



Figura św. Tekli, kamienna, polichromowana na ceglany postumencie. Święta w lewej ręce ma krzyż, a w prawej gałązkę palmową. Figurę wykonał artysta-rzeźbiarz Mieczysław Bogaczyk.

Pierwotną figurę, stojącą bliżej gościńca (obecnie ul. Nawojowska), zniszczył przypadkowo autobus. Nowa figura została ufundowana w latach 1960–1962 z inicjatywy ks. Mieczysława Raczkowskiego – proboszcza Za-

wady oraz okolicznych mieszkańców. Według tradycji figura św. Tekli miała być wotum dziękczynnym za zwycięstwo w Nowym Sączu nad Szwedami (13 grudnia 1655). Figura ta zaznaczona jest na mapie katastralnej z 1904 r.

Lokalizacja: skrzyżowanie ul. Granicznej i Nawojowskiej w obrębie posesji Bardów – Nawojowska 128.

VIII.

Kapliczka zaprojektowana na palnie prostokąta, z cegły, tynkowana i malowana. Od frontu znajduje się półkoliste wejście. W zwieńczeniu trójkątnym u szczytu drewniany krzyż. Niżej wnęka, w której jest krzyż z wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. Zamiast dachu, betonowe nakrycie z wypustami po bokach, imitujące dach łamany. Z prawej strony drzwi tablica zagipsowana, na której ma być napis: „Fundator Śliwa Władysław 1920 rok”.

We wnętrzu kapliczki (z oświetleniem elektrycznym) znajduje się drewniany ołtarzyk misternie rzeźbiony, obok obraz Matki Bożej Czę-



stochowskiej. Kapliczka miała być dziękczynieniem za szczęśliwy powrót do domu z I wojny światowej.

Kapliczka zlokalizowana była w Nawojówce nr 5 przy Starej Drodze, gdzie mieszkali Ludwika i Władysław Śliwowie. Obecnie jest to ul. Bolesława Prusa 98, właściciel posesji Ryszard Majoch.

IX.

Kapliczka szafkowa, drewniana, zaszkłona. Wewnątrz krzyż z rzeźbionym w drewnie wizerunkiem Chrystusa Ukrzyżowanego, przeniesiony z kapliczki pierwotnej. Całość nakryta dwuspadowym daszkiem. Pierwotna szafka umieszczona była na drzewie lipowym, a potem na drewnianym słupie. W 1970 r. wykonano podwyższenie z metalu, wykończone ozdobnymi elementami z drutu. Fundatorami pierwotnej kapliczki (przed 1900) była rodzina Saratów.

Lokalizacja: Nawojówka – Stara Droga, obecnie ul. Bolesława Prusa 74.



X.

Kapliczka szafkowa, oszklona z dekoracyjnymi wcięciami w desce ujmującymi szafkę. Zwieńczona daszkiem i metalowym krzyżem. W szafce znajdują się figurki gipsowe Matki Bożej i św. Kingi oraz wizerunek Chrystusa na krzyżu. Drewniany słup i szafkę odnowiono w 2004 r. U podnóża słupa stale świecą się znicze zapalane przez okolicznych mieszkańców. Ufundowana na miejscu pierwotnej kapliczki (mapa katastralna z 1846) przez Jana Antosza w 1920 r.

Lokalizacja: Zawada przy Gościńcu, obecnie ul. Nawojowska 176, w obrębie parceli należącej do Bogumiła Lorka.

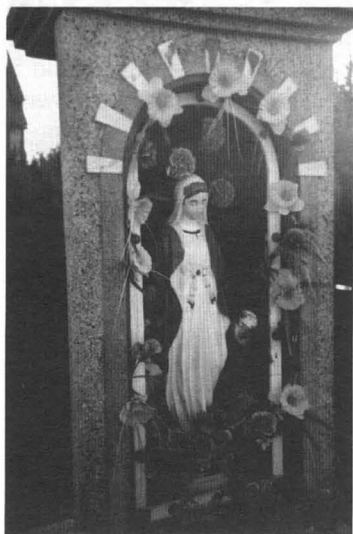


XI.

Kapliczka murowana, pobielona. W górnej kondygnacji znajduje się za-szklona i zamknięta wnęka, w której umieszczono figurę Matki Bożej Ró-żańcowej i św. Antoniego z Dzieciąt-kiem na lewej ręce. Całość nakryta jest dwuspadowym daszkiem u szczy-ty z krzyżem.

Kapliczka ufundowana i zbudowa-na przez Wojciecha Legutkę przy Bia-łej Drodze w 1950 r., jako wotum za przetrwanie okupacji hitlerowskiej.

Lokalizacja: Górkı Zawadzkie 162.



XII.

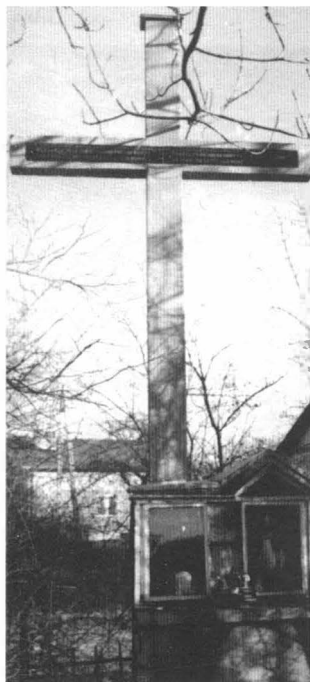
Kapliczka betonowa, wyłożona gra-nitem z półkoliście zamkniętą wnęką na schodkowym cokole. We wnęce polichro-mowana gipsowa figura Matki Bożej Nie-pokalanego Poczęcia. W górnej części daszek dwuspadowy z krzyżem. Funda-tor: Michał Kutasik (1904–1966).

Wybudowana i poświęcona w 1965 r. Stanowi wotum wdzięczności za szczę-śliwe wybudowanie domu, mimo ciężkiej choroby i trudnych warunków material-nych. Co roku jeden raz w maju przy ka-pliczce celebrowana jest Msza św.

Lokalizacja: ul. Brzeziny 8, za ogrodze-niem posesji Bogusławy Hoszewskiej.

XIII.

Krzyż przydrożny przy łuku ul. Krętej łączącej się z ul. Pienińską, ok. trzymetrowy, wsparty na betonowej podstawie uzupełnionej tynkowaną cegłą. U nasady krzyża znajdują się dwie nieregularne oszklone szafki połączone betonowym gzymsem. W lewej szafce na szkle umieszczo-



no obraz królowej Jadwigi, a pod nim napis: „Oto z Jej portretu po tylu wiekach, w nocy dają się słyszeć słowa troski o naród, którym rządziła i który oświeciła”.

W prawej u szczytu: „Ave, Ave, Ave Maria”, poniżej figurka Matki Bożej i napis: „Zdrowaś, Zdrowaś Mario”. Ponadto można odczytać napis: „Królowao Jadwigo daj powrót wzroku, czytania pisanie bez okularów po latach ponad siedemdziesięciu za poświęcenie i troskę [wobec] swej Ojczyzny i oświaty – Małek Stanisław”.

Na poziomym ramieniu krzyża znajduje się tekst: „Wizja podczas hejnału krakowskiego – podłużne wzgórze zapelnione ludem, pośrodku królowa powstaje z tronu, wyraża radość z wyboru Ojca św. Polaka. Chciałaby być natenczas wśród ludu swojego (1979)”

Kapliczka była poświęcona w 1980 r. przez ks. Jana Zielińskiego – proboszcza parafii Zawada w 1980 r.

XIV.

Kapliczka z figurką Matki Bożej Niepokalanej, umieszczona w sztucznie zrobionej grocie z kamieni, które tłem są większe kamienie, ułożone nieregularnie przy skarpie. Inicjatorką i wykonawczynią kapliczki była siostra Edmunda (Anna Pociasek) – organistka w kościele parafialnym w Zawadzie. Pamiątkowe dzieło wykonała w 1981 r.

Lokalizacja: kapliczka usytuowana jest przy schodkach od ul. Nawojowskiej na wprost Domu Służebniczek Dębickich ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanie Poczętej.



XV.

Kapliczka na usypanym wzniesieniu, betonowa, obłożona kamykami rzecznyymi. W otwartej wnęce jest gipsowa figurka Matki Bożej Różańcowej, zakupiona w 1948 r. w Kalwarii Zebrzydowskiej i przekazana Janinie Zaczek jako rodzinna pamiątka. U podnóża kapliczki płynie strumyk wpadający do sadzawki z fontanną. W okresie Bożego Narodzenia eksponuje się w niej szopkę z odpowiednią dekoracją. Podczas uroczystości kościelnych jest oświetlona.



Kapliczkę wybudowano w 1990 r. jako wotum wdzięczności za odzyskanie zdrowia przez Tadeusza Zaczka po przebytej chorobie. Ponadto stanowi dziękczynienie za powołanie zakonne dla córki Małgorzaty, która wstąpiła do klasztoru Serafitek pod wezwaniem Matki Bożej Bolesnej w Krakowie.

Lokalizacja: ul. Jastrzębia 6, w ogrodzie Tadeusza i Janiny Zaczek.



XVI

Kapliczka wykonana z betonu i drutu. Z zewnątrz obłożona kamieniami otaczakami, przywiezionymi z rzeki Biały Dunajec, przeszklona półkoliście. We wnętrzu znajduje się gipsowa figura Matki Bożej Niepokalanej – wysoka na 120 cm. U szczytu metalowy krzyż. Nocą wnęka jest oświetlana.

Fundatorem kapliczki jest Tadeusz Nowak. Została wybudowana jesienią 1996 r. jako dziękczynienie za ocalenie życia po wypadku.

Lokalizacja: ul. Kręta 24, w obrębie posesji Stanisława Fiedora.

XVII

Figura Matki Bożej Niepokalanej, gipsowa, bez polichromii o wysokości 120 cm. Stoi na granitowym głazie przywiezionym z kopalni w Czernicy. Posadowiona w 1997 r. i poświęcona przez ks. Jana Zielińskiego. W okresie Bożego Narodzenia udekorowana jest kolorowymi lampionami. Fundator: Bolesław Zajac. Figura stanowi wotum wdzięczności za uratowanie życia ojca Stanisława podczas wypadku w 1996 r. i przywrócenie zdrowia.

Lokalizacja: ul. Piłsudskiego przy bramie wjazdowej do biur cegielni.



XVIII.

Figura gipsowa Matki Bożej Różańcowej (140 cm), osadzona na schodkowej podstawie i marmurowym podwyższeniu o wysokości 200 cm. Nad figurą znajduje się półkolista daszek, wsparty na czterech metalowych ozdobionych płaskownikach.

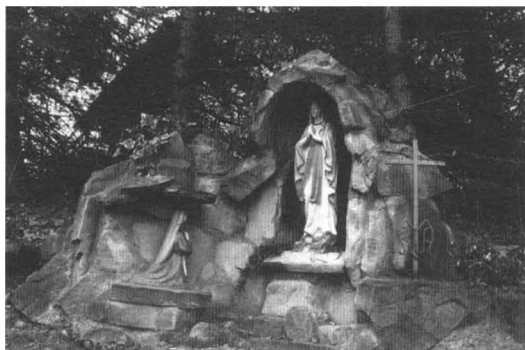
Na gzymsie pod figurą napis: „Twoja wola, uciekajmy się”. Nocą figura jest oświetlona. Fundatorem jest Józef Świąt. Posadowiona i poświęcona w 2000 r. Stanowi wotum wdzięczności za opiekę Bożą nad rodziną.

Lokalizacja: w ogrodzie Józefa Świąta przy ul. Nawojowskiej 267.



XIX

Kapliczka – sztuczna grotta uformowana z kamienia. Wewnątrz figura Matki Bożej Różańcowej. Fundator i wykonawca – Marian Dąb. Posadowiona w 2003 r. na pamiątkę szóstych urodzin córki. Poświęcona w tym sa-



mym roku przez parafianina ks. prałata Andrzeja Legutkę – proboszcza parafii na Żeraniu w Warszawie.

Lokalizacja: zbrocze nad drogą polną wiodącą od ulicy Nawojowskiej na Górki Zawadzkie, ul. Nawojowska 274.

XX

Kapliczka wykonana z łupanego piaskowca. Na podstawie wnęka, w której umieszczona jest figurka Matki Bożej Niepokalanej. U szczytu wnęki kamienny krzyż. Fundatorem kapliczki jest Tomasz Janek. Kapliczkę wykonano w 2005 r. w podziękę za łaski dla rodziny.

Lokalizacja: ul. Górki Zawadzkie.



XXI

Kapliczka w drewnianej, płaskiej, otwartej skrzyneczce z dwuspadowym daszkiem, u szczytu z krzyżykiem. Wewnątrz rzeźbiona w drewnie figurka Jezusa Frasobliwego oraz św. Józefa i św. Jana. Ma ponad 100 lat. Znajdowała się na starej chacie Hoffmanów w Nawojówce 36. Kapliczka odnowiona w 2007 r.

Z kapliczką wiąże się cudowne uzdrowienie Kunegundy Skrzypiec, córki Hoffmanowej, po powtórny zawieszeniu jej na nowym, przebudowanym domu.

Lokalizacja: ul. Bolesława Prusa 79a u Ireny Drabik. Umieszczona na ścianie frontowej domu.

Literatura i źródła

1. „Szematyzm Diecezji Tarnowskiej”, *Kapliczki, figury i krzyże przydrożne na terenie Diecezji Tarnowskiej*, red. ks. J. Rzepa: 1983.
2. Mapa Miega z ok. 1780 r. (Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu).
3. Mapy katastralne z 1846 r. (Archiwum Państwowe w Krakowie).
4. Księga tabularna Brzeziny Wyżne (Archiwum Sądu Okręgowego w Nowym Sączu).
5. *Katalog Zabytków Sztuki w Polsce T. I, Województwo Krakowskie, cz. 10, Powiat Nowosądecki*, pod red. J. Szablowskiego, Warszawa 1951.
6. „Rocznik Diecezji Tarnowskiej” na rok 1972, red. ks. J. Rzepa: 1971.

Kazimiera Mordarska-Łagan

Z KRONIKI RODZINNEJ MORDARSKICH

Sięgając do domowego archiwum i innych źródeł podjęłam się próby przedstawienia dziejów mojej rodziny, która – może nieskromnie zaznać – wpisała się złotymi zgłoskami w historię kultury muzycznej Nowego Sącza i Sądeckizny, przy czym podstawą tekstu jest kronika rodzinna obejmująca życie kilku pokoleń.

Księgi parafialne kościoła św. Małgorzaty wskazują na głębokie w minionych wiekach zakorzenienie rodu. W przekazie rodzinnym zachował się wiersz:

*Pomnij Potomku naszego Grodu, że kiedy 13 grudnia 1655 roku
Szwedzi – Sądeczanom rzeź zaplanowali
Przodkowie nasi walcząc z nimi – srogi cios im zadali
Za to męstwem i odwagą się wykazali
Dowódcy wówczas – przydomkiem Mordarskich ich nazwali
Bo Nowego Sącza dzielni bronili – jak przedni żołnierze
Stąd początek swój – nazwisko rodu Mordarskich bierze.*

Powyższe strofy odnotował pierwszy kronikarz rodowy, a był nim mój stryj, **Eugeniusz Mordarski** (ur. 5 kwietnia 1893 w Nowym Sączu), który podjął się obowiązku prowadzenia zapisków z życia swojej rodziny. Całą wiedzę na temat przodków przekazali Eugeniuszowi jego 85-letni wówczas dziadek **Jan Mordarski** oraz rodzice: **Adela i Franciszek Mordarscy**.



Eugeniusz Mordarski

Zapiski były prowadzone odręcznie, w kolejnych zeszytach. Kronikarz Eugeniusz na bieżąco uzupełniał dane odnośnie chrztów, ślubów i zgonów, na podstawie własnej wiedzy i zgłoszeń przesyłanych na adres domowy: ul. Zielona 20.

Z biegiem lat rola kronikarza przypadła mnie. Już jako dziecko słyszałam od ojca o tradycji pisania rodowej sagi. Pamiętam swoje zaciekawienie i zafascynowanie, gdy zapoznałam się z treścią i zasadami kroniki prowadzonej przez wujka Eugeniusza.

Zacznijmy więc od początku.

I pokolenie

Protoplastą rodu, którego życie potrafimy w miarę udokumentować był **Jakub Mordarski** ur. w 1795 r. w Nowym Sączu, zmarły 9 sierpnia 1831 r. w swoim rodzinnym mieście. Jakub ożenił się z Małgorzatą z domu Opach. Był on właścicielem garbarni w swojej realności przy ul. Matejki 12. Dawniej, kiedy jeszcze nie było nazw ulic, posługiwano się numerami domów zlokalizowanych wokół rynku. Dom Jakuba był wtedy oznaczony numerem 417.

Jakub i Małgorzata mieli ośmioro dzieci (wszystkie urodzone i zmarłe w Nowym Sączu, nie wszystkie daty udało się ustalić). Byli to:

Błażej (zm. 2 czerwca 1884);
Ignacy (ur. w 1824, zm. 10 czerwca 1902);
Kunegunda (ur. w 1825 r.);
Anna (ur. 2 czerwca 1826 r., zm. 11 lipca 1826);
Jan (ur. 1827 r., zm. 2 lutego 1912);
Maria (ur. w 1828 r., zm. 12 kwietnia 1832);
Jakub (ur. w 1829);
Zofia (ur. w 1830).

Po śmierci męża (w wieku 36 lat) Małgorzata wydała się za szewca Wojciecha Wierzbanowskiego, małoletnie dzieci Jakuba miały więc zapewnić opiekę.

II pokolenie

Jan Mordarski urodził się w 1827 r., zmarł 2 lutego 1912 r. Po ukończeniu kilku klas szkoły ludowej terminował u swojego ojczyma (Wojciecha Wierzbanowskiego) na szewca. Potem pracował u kilku sądeckich mistrzów i założył własny warsztat w domu przy ul. Matejki 12 (dawny 417), należał do cechu wielkiego i bractwa rzemieślniczego. Jego żoną była Anna Baran, z którą miał czwórkę dzieci (wszystkie urodzone w Nowym Sączu, zmarłe też w rodzinnym mieście, z wyjątkiem ks. Ignacego, który dokonał żywota w Ameryce Północnej). Dzieci Anny i Jana Mordarskich:

Maria (ur. 28 stycznia 1852)

Franciszek (ur. 4 października 1854 r., zm. 5 lipca 1925)

Ignacy (ur. 15 sierpnia 1858 r., zm. 11 czerwca 1918)

Stanisław (ur. w 1864)

Po śmierci żony Anny (1886) Jan przez jakiś czas przebywał u swojego syna (księdza), a potem wrócił do domu przy ul. Matejki do syna Franciszka. Znał różne lekarstwa domowe (tak dla ludzi, jak i zwierząt) przeciw różnym chorobom, udzielał porad, leczył na febrę. Miał wesole usposobienie, zachował rześkość, jasną pamięć i energię do późnej starości.

III pokolenie

Franciszek Mordarski urodził się 4 października 1854 r., zmarł 5 lipca 1925 r. Zapoczątkował muzyczne tradycje w naszej rodzinie. Podczas służby wojskowej, w latach 1874–1876, grał na flecie w cesarsko-królewskiej orkiestrze wojskowej w Wiedniu. Po odejściu do cywila pracował w rodzinnym mieście w Dyrekcji Skarbowej, a potem na kolei, uczestnicząc w założeniu orkiestry kolejarskiej w 1892 r. Jej trzon stanowili muzycy, pracownicy przeniesieni przez rząd austriacki do Nowego Sącza ze Starego Zagórza, po likwidacji Kolejowych Warsztatów Naprawczych. Nazywała się Orkiestra Pracowników Cesarsko-Królewskich Warsztatów Kolei Wschodnich. Jej założycielem i wieloletnim prezesem był Piotr Ekiert, zasłużony

działacz kultury, działacz związkowy. Pierwszym dyrygentem orkiestry sądeckiej był Kazimierz Kirschanek, urzędnik sądowy, były kierownik zespołu Straży Ogniowej w Nowym Sączu. Pełnił funkcję dyrygenta Orkiestry c.k. Warsztatów Kolei Wschodniej od 1892 r. do 1907 r. Początkowo orkiestra ćwiczyła w budynku stojącym obok willi „Marya” przy ul. Jagiellońskiej, by w 1907 r. przenieść się na kilkadziesiąt lat do Domu Robotniczego.

Franciszek ożenił się z Adelą z Deszkowskich, z którą miał jedenaścioro dzieci (siedmiu synów i cztery córki); wszyscy potrafili grać na kilku instrumentach.

IV pokolenie

Gracjan Mordarski, syn Franciszka i Adeli. Urodził się 19 grudnia 1880 r. w Nowym Sączu, zmarł 10 lutego 1966 r. w Bochni. Żył 86 lat. Miał dwie żony: Franciszkę Sawińską (zmarła w b. młodym wieku) i Stanisławę Nater. Ciężko doświadczony przez życie (w pożarze zginęła mu trójka dzieci), obdarzony wyjątkowym talentem muzycznym był dyrygentem orkiestr dętych Kopalni Sopli w Bochni, Łososińskich zakładów Przemysłu Drzewnego w Łososinie Górnej, Rafinerii Nafty w Sowlinach k. Limanowej. Skomponował walc *Nad Kamienicą*. Dokonał wielu aranżacji dla orkiestr dętych, wyszkolił dziesiątku muzyków, którzy cenili jego talent. Jego własnoręcznie napisane nuty i opracowania były wykorzystywane przez zespoły z Sądeczyn i Limanowszczyzny.

Był człowiekiem niezwykle skromnym, nie zabiegającym o zaszczyty i honory. Oprócz muzyki jego zamiłowaniem była plastyka.

Kapelmistrz orkiestry Podhalańczyków

Kolejny przedstawiciel rodu Mordarskich z IV pokolenia, brat Gracjana – **Mieczysław** (ur. 30 listopada 1888 w Nowym Sączu, zmarł 7 września 1959), był absolwentem c.k. Męskiego Seminarium Nauczycielskiego w Starym Sączu (matura w 1910), nauczycielem śpiewu, żołnierzem armii austriackiej (23. i 20. pp.), w 1914 r. walczył nad rzeką Nidą z Rosjanami, w kwietniu i maju 1915 r. na froncie gorlickim. Ranny w nogę spędził trzy tygodnie w szpitalu w Nowym Sączu, po czym znów trafił do Marschbatalionu, do orkiestry pułkowej. Trafił z wojskiem na Bukowinę i na Pokucie (pod Buczaczy). W marcu 1916 r. dostał urlop i pojechał do Nowego Sącza na ślub z Kazimierą z domu Płaczek. Po tygodniu powrócił na front w rejon Siedmiogrodu.



W 1917 r. wysłano go do szkoły oficerskiej w Opawie, którą ukończył z wynikiem bardzo dobrym. Odesłany do Styrii i do północnego Tyrolu w miejscowości Gessensas brał udział w buncie przeciwko dowódcy niemieckiego 73. pp. z powodu nieludzkiego traktowania Polaków. Powołana komisja przyznała żołnierzom rację, ale nazajutrz wysłała całą kompanię na front włoski.

*

Ze wspomnień Mieczysława Mordarskiego, którego zbliżający się koniec I wojny światowej (październik 1918 r.) zastał w Tyrolu:

Pod koniec października 1918 roku otrzymałem telegram ze szpitala w Nowym Sączu, w którym zawiadamiano mnie, że po urodzeniu dziecka moja żona jest ciężko chora. Wtedy już jako kadet aspirant wziąłem urlop i wyjechałem do domu. Po drodze brałem udział w zamieszkach rewolucyjnych w Wiedniu, a także mimochodem w Pradze. Przyjeżdżam do Krakowa, a tu aż wrze, podobnie zresztą było w Nowym Sączu. Zgłosiłem się do służby w Milicji Obywatelskiej, ale tu niedługo zagrzałem miejsca, bo mnie zaraz wcielono do orkiestry 1. PSP ponieważ kapelmistrz Stiasny, z pochodzenia Czech, demobilizował się odchodząc do cywila. Tym sposobem zostałem kapelmistrzem i prowadziłem orkiestrę.

Pewnego dnia przypomniałem sobie, że jadąc pociągami z Krakowa do Kocmyrzowa, spotkałem się z kapelmistrzem Antonim Wrońskim, który narzekał na ciężkie życie i trudności w utrzymaniu rodziny z powodu braku zajęcia. Żał mi się go zrobiło, bo był dobrym kapelmistrzem, a szczególnie moim instruktorem. Napisałem więc do niego, aby przyjechał do Nowego Sącza, to mu wyrobię posadę. Gdy przybył, przedstawiłem go płk. Horoszkiewiczowi, który go przyjął do pracy i mianował kapelmistrzem. Tak więc było nas dwóch: p. Wroński i ja. Tymczasem nadszedł rozkaz, że pułk ma odejść na front wraz z orkiestrą. Gdy się pan Wroński dowiedział o tej decyzji, zrobił

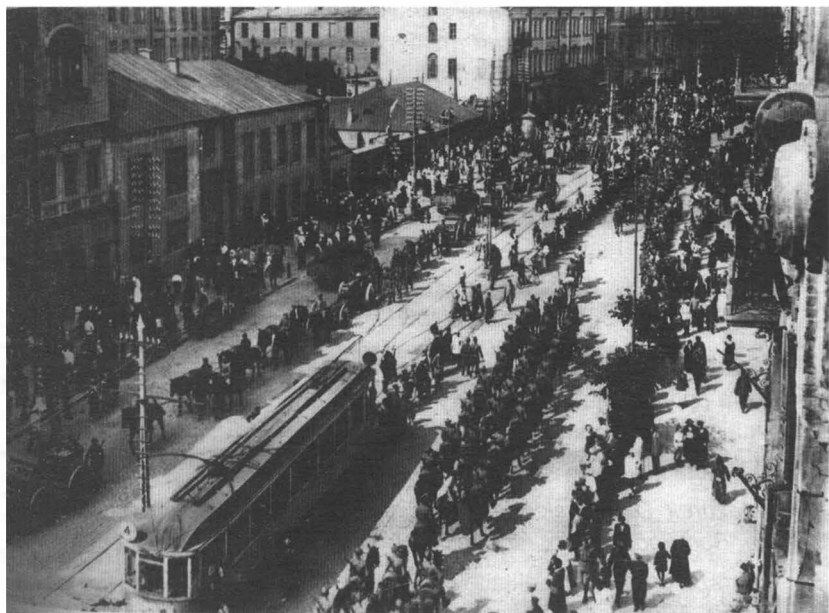
mi awanturę mówiąc: „Ustąpiłeś mi, żeby mnie wypchać w pole”. Wówczas odpowiedziałem: „Walczyłem na ruskim froncie 33 miesiące, a na włoskim 11 miesięcy, to pojadę i teraz na front z orkiestrą”. Nazajutrz obaj poszliśmy do dowódcy, gdzie ja wyraziłem zgodę, by wyruszyć z muzykami na front ukraiński. Byłem w Kijowie, gdzie prowadziłem defiladę na Kreszczatiku. Grałem mszę polową w Darnicy. 31 sierpnia 1919 roku wraz z orkiestrą uczestniczyłem w odsłonięciu pomnika Juliusza Słowackiego w Gorlicach.

*

W grudniu 1918 r. Mieczysław Mordarski został – w stopniu sierżanta – pierwszym kapelmistrzem orkiestry 1. Pułku Strzelców Podhalańskich (m.in. prowadził na czele orkiestry pułkowej defiladę wojsk polskich na Kreszczatiku w Kijowie w 1920).

Na froncie rosyjskim służył 33 miesiące.

Orkiestra powstała tuż po odzyskaniu niepodległości, w 1918 r. 1. Pułk Strzelców Podhalańskich w Nowym Sączu wraz z orkiestrą powołał rozkazem nr 12 w dniu 1 grudnia 1918 r. dowódca Okręgu Generalnego w Krakowie.



Defilada wojsk polskich w Kijowie, 9 maja 1920 r.

Duże zasługi przy jej organizowaniu mieli: dowódca pułku ppłk Kazimierz Horoszkiewicz, kapelan ks. Antoni Miodoński i ppor. Władysław Niewoloński, ówczesny referent orkiestry, który zmarł w 1920 r. podczas wyprawy kijowskiej.

W skład etatowej orkiestry weszli polscy muzycy służący w austriackim 32. Pułku Obrony Krajowej „Neu Sandez” (której dyrygentem był Józef Stiasny) i 20. Pułku Piechoty. Początkowo miała 21 muzyków, potem 23 (1927) i 56 (1934). W 1939 r. orkiestra liczyła 59 członków, w tym 24 elewów.

Orkiestra koncertowała w paradnych pelerynach i kapeluszach z piórami (najlepiej orlimi), w pełnym składzie instrumentów dętych, z tamburmajorem, który zamiast buławy dzierżył w dłoni ciupagę osadzoną na drewnianym drzewcu.

19 sierpnia 1919 r. muzycy z Nowego Sącza pod batutą Mieczysława Mordarskiego uczestniczyli w odsłonięciu pomnika Juliusza Słowackiego w Gorlicach.

W 1922 r. witali na rynku przed ratuszem premiera Wincentego Witosa; dowódcą kompanii honorowej ze sztandarem był wówczas kpt. Stefan Kotlarski (ur. w 1891 r. w Jaśle, zm. w 1973 r. w Nowym Sączu).

Sierżant Mordarski po zakończeniu służby u Podhalańczyków był później założycielem i pierwszym dyrygentem orkiestry „Echo Podhala” w Limanowej (1923). We wrześniu 1939 r. władze niemieckie poleciły mu objąć urząd burmistrza w Limanowej, a następnie wyznaczyły na zakładnika.

Po szczęśliwie przeżytej wojnie pracował jeszcze do 1950 r., po czym przeszedł na emeryturę

*

W książce *Piórko i peleryna* (Nowy Sącz, 2006) Jerzy Leśniak i Sławomir Sikora przytaczają przykładowy repertuar orkiestry za czasów kapelmistrzowania Mieczysława Mordarskiego.

Oto wykaz utworów:

– *Mazurek Dąbrowskiego*, *My Pierwsza Brygada* – oprac. Bogumił Reszke, *Bogurodzica* – oprac. Feliks Nowowiejski;

– marsze paradne i defiladowe (*Marsz Galicowy* – oprac. Bogusław Sidorowicz, *Marsz podhalański* – oprac. Antoni Wroński, *Naprzód strzel-*

cy – oprac. Zdenek Karol Rund, *Warszawianka* – oprac. Marian Drożyński, *Defilada* – oprac. Wacław Lewacki, *Stary kapral* – oprac. Kazimierz Kosecki, *A jeśli Ciebie zapomnę*, *Ojczyzna* – oprac. Piotr Maszyński, *Bądź zdrowa* – oprac. Ludomir Różycki, *W rocznicę* – oprac. Leon Bielewicz;

- muzyka narodowa, legionowa, religijna;
- poemat symfoniczny *Cud nad Wisłą* Feliksa Koseckiego;
- utwory symfoniczne (Stanisław Moniuszko, Mieczysław Karłowicz, Zdenek Karol Rund);
- melodie góralskie – *Wieści z Podhala* – oprac. Józef Piotr Ciapski;
- melodie zagraniczne (m.in. muzyka Edwarda Griega i Bedricha Smetany).

Kapelmistrzowie orkiestry 1. PSP

sierż. Mieczysław Mordarski (1918–1920),
ppor. Antoni Wroński (1921–1924),
st. sierż. Józef Piotr Ciapski (1924–1927),
ppor. Władysław Rulc (1927–1937)
sierż. Daniel Bałycz (1937–1938 i 1–17 IX 1939 w ośrodku zapasowym),
kpt. Jan Teofil Walter (1938–1939).

*

Kapelmistrz Mieczysław Mordarski dochował się utalentowanych muzycznie dzieci – pięciu synów i czterech córek. Oto oni:

Józef (1920–1980) – dyrygent orkiestry szkolnej w Technikum Samochodowym w Nowym Sączu, a przed wojną absolwent konserwatorium muzycznego w Katowicach i zawodowy muzyk wojskowy (walczył w 1939 r. pod Kockiem);

Mieczysław – junior (1921–1965) – objął po ojcu orkiestrę dętą „Echo Podhala”, założyciel ogniska muzycznego w Limanowej, wraz z bratem Józefem walczył z Niemcami pod Kockiem w 1939 r.;

Jan (1928–1979) – multiinstrumentalista, grał m.in. na trąbce, skrzypcach, perkusji, zamieszkał we Włocławku, rodzinnym mieście swej żony;

Ludwik (ur. 1929) – mgr wychowania muzycznego, podpora i założyciel zespołu „Limanowanie” (1969) i orkiestry „Echo Podhala”, folklorysta



Józef



Mieczysław



Jan



Ludwik



Władysław

i dokumentalista kultury muzycznej, autor utworu *To nasze miasto* (hymnu Limanowej) oraz wielu opracowań dotyczących instrumentów ludowych m.in. *Muzyka Ziemi Limanowskiej*.

Ludwik Mordarski opracował naukowo trzynaście tańców Lachów limanowskich do słownika *Taniec w polskiej tradycji* (2007), będącego kontynuacją fundamentalnej pracy Oskara Kolberga;

Władysław (ur. w 1932) – kapelmistrz orkiestry zakładu drzewnego w Łososinie Górnej i orkiestry parafialnej w Limanowej, z okazji pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Kalwarii Zebrzydowskiej w 1979 r. skomponował – do słów swojej siostry Kazimieri – poloneza pt. *Witamy Cię, Ojczyści Świąty*;

Córki Mieczysława – **Stanisława Kaczmarek** (1918–1987), **Kazimiera Łagan** (ur. w 1923 r.), **Adela Jeleń** (1925–1981) i **Maria Kołodziej** (1934–2006) – tworzyły po II wojnie w Nowym Sączu popularny zespół

„Siostr Mordarskich”, afiliowany przy MHD, Rynek 14.

Zespół zadebiutował w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego „Nowy Sącz” przebojem *Wio, koniku*. Grałyśmy w orkiestrze symfonicznej, zespołach – estradowym i mandolinistów. Korzystałyśmy z kontrabasów, gitar, saksofonów, skrzypiec, perkusji i harmonii. Wywoływałyśmy furorę podczas występów w kurortach m.in. Rytrze i Rabce, odwiedzając szkoły i przedszkola, jednostki wojskowe, domy kultury i zakłady pracy.

Muzycznymi śladami poszło następne pokolenie (m.in. **Tadeusz i Zbigniew Łaganowie, Krzysztof Kaczmarek**), zasilając sądeckie zespoły młodzieżowe „Majstry” i „Szwagry”. **Mieczysław Mordarski** (nr trzeci o tym imieniu w rodzinie) pływa jako muzyk na ekskluzywnych statkach po Morzu Karaibskim i Śródziemnym.



Stanisława
Kaczmarek



Kazimiera Łagan



Adela Jeleń



Maria Kołodziej

*

12 grudnia 2007 r. w Galerii Marii Ritter w Nowym Sączu – w cyklu „Sądeckie rody” – można było posłuchać interesującej sagi o muzycznych rodach Mordarskich i Łaganów, których losy wpisują się w historię Sądeczyny. Opowiadałam o nich wraz z synami Zbigniewem i Tadeuszem oraz bratem Ludwikiem i bratankiem Mieczysławem. Spotkanie zorganizowane przez Muzeum Okręgowe oraz Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych poprowadziła Anna Totoń.



Rodziny Mordarskich i Łaganów, Nowy Sącz – Galeria Marii Ritter, 2007

*

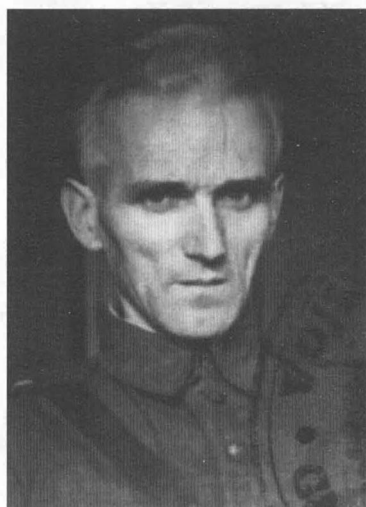


Notka o autorce:

Kazimiera Mordarska, po mężu Łagan, grała na kontrabasie, gitarze i saksofonie, występowała – z synami Zbigniewem i Tadeuszem – w „Lachach”, pisała scenariusze widowisk, m.in. z okazji 300. rocznicy odsieczy wiedeńskiej, 700-lecia Nowego Sącza i kanonizacji księżnej Kingi. Przepracowała jako księgowa 23 lata w Karpackiej Brygadzie Wojsk Ochrony Pogranicza, organizując m.in. wystawy o tematyce wojskowej i rękodzielniczej, otrzymując wiele nagród i wyróżnień.

JÓZEF KRUPA (1899–1945)

Józef Krupa urodził się 9 stycznia 1899 r. w Woli Skrzydlańskiej, powiat Limanowa. Jego rodzice, Jakub i Antonina – posiadali w rodzinnej miejscowości gospodarstwo rolne. W latach 1906–1912 uczęszczał do Szkoły Powszechnej w Skrzydziej i Szczyrzycu. Dalsza jego edukacja odbywała się w Gimnazjum w Myślenicach, w którym ukończył sześć klas (1917); klasy VII i VIII ukończył odbywając służbę w Wojsku Polskim. Świadectwo dojrzałości uzyskał w 1921 r. Pełniąc służbę wojskową, jako oficer, podjął w latach 1923–1928 studia prawnicze na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie uzyskał dyplom magistra prawa.



W czasie I wojny światowej – 10 marca 1917 r. – został powołany do armii austriackiej, służąc w niej do 31 października 1918 r.

Tabela 1. Służba w armii austriackiej

10.03.1917	30.04.1917	Bochnia – 3 komp. zapas. 32 p. strzelców
30.04.1917	10.01.1918	Bochnia – kompania sztabowa
10.01.1918	15.05.1918	Morawska Ostrawa – kompania wartownicza

15.05.1918	18.06.1918	Bochnia – 1 komp. zapas. 32 p. strzelców
18.06.1918	15.08.1918	Opawa – oficerska szkoła rezerwowa
15.08.1918	31.10.1918	Bochnia – kompania sztabowa

Z tabeli wynika wniosek, że Józef Krupa bezpośrednio w działaniach frontowych prawdopodobnie udziału nie brał. Nie ukończył również szkoły oficerskiej w Opawie. Odnośnie powyższego można jedynie stwierdzić, iż w dokumentach została odnaleziona wzmianka, stwierdzająca że fakt ten miał związek z bliżej nieokreśloną „reklamacją”.

Tabela 2. Przebieg służby w Wojsku Polskim w latach 1918–1921

15.11.1918	13.06.1919	1. Pułk Strzelców Podhalańskich – szeregowy
14.06.1919	11.10.1919	Szkoła Podchorążych Piechoty w Warszawie
12.10.1919	19.03.1920	2. Pułk Strzelców Podhalańskich – dca plut.
20.03.1920	27.03.1920	3. Pułk Strzelców Podhalańskich – dca plut.
28.03.1920	27.07.1920	67. pp. BZ – oficer oświatowy
28.07.1920	11.08.1920	157. pp. – dca komp.
12.08.1920	01.09.1920	Szpital – rana postrzałowa nogi w dniu 11.08.1920 pod Pułtuskim (kula pozostała w ciele)
01.09.1920	02.10.1920	57. pp. BZ – dca plut.
03.10.1920	15.10.1920	BZ wojsk wart. i Etap Nr 7 – dca plut.
16.10.1920	15.03.1921	4. Poznański Batalion Etap. – dca komp. i oficer oświatowy

Tytułem uzupełnienia informacji znajdujących się w tabeli należy przytoczyć fragment świadectwa, jakie dwaj koledzy frontowi Józefa: Juliusz Szwechłowicz i Franciszek Mucha złożyli na piśmie z datą 24 września 1937 r. przed Komitetem Krzyża i Medalu Niepodległości.

Józef Krupa wstąpił do Samodzielnej Kompanii Odsieczki Lwowa „Legia Studencka” w Nowym Sączu, z którą 17.11.1918 wyjechał na front pod dowództwem ppor. Jana Gurowskiego. Kompania brała udział w walkach z Ukraińcami pod Chyrowem od 18.11.1918 do 10.12.1918, a następnie wcielona do I Batalionu 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. I Baon 1 PSP brał udział w kampanii na Spizu i Orawie od 01.01.1919 do 14.01.1919, na froncie ukraińskim w grupie Bug od 15.01.1919. Józef Krupa pełnił służbę w I Baonie 1 kompanii do 14.06.1919, po czym odjechał do Szkoły Podchorążych w Warszawie.

(Poświadczenie podpisów obu świadków dokonał Prezydent Miasta Nowego Sącza Stanisław Nowakowski).

Oprócz udziału w walkach z Ukraińcami Józef Krupa brał udział w walkach na froncie bolszewickim w szeregach 157. Poznańskiego Pułku Piechoty i w bitwie pod Pułtuskim. 11 sierpnia 1920 r. otrzymał postrzał w nogę, skutkiem czego znalazł się w szpitalu, po opuszczeniu którego został skierowany do jednostek tyłowych.

Tabela 3. Przebieg służby w czasie pokoju w latach 1921–1931

16.03.1921	30.08.1921	Poznański Baon Etap. – dca komp.
01.09.1921	29.09.1921	Baon celny – dca plut.
10.09.1921	29.09.1922	60. pp. w Ostrowie Wielkopolskim – dca plut.
30.09.1922	12.10.1923	52. pp. w Złoczowie – dca plut.
13.10.1923	02.12.1923	Kurs metod praktycznych – słuchacz kursu
03.12.1923	27.04.1924	52. pp. w Złoczowie – dca plut.
28.04.1924	20.06.1924	PKU Złoczów – członek komisji przeglądowej
21.06.1924	05.01.1925	52. pp. w Złoczowie – dca plut.
06.01.1925	28.01.1925	Kurs narciarski w Warszawie – jako uczeń
29.02.1925	23.07.1926	52. pp w Złoczowie – dca plut.
24.07.1926	25.07.1927	52. pp. – oficer ewidencji person.
26.07.1927	01.02.1928	52. pp. w Złoczowie – dca plut.

02.02.1928	15.10.1928	52. pp. – powiat. kmdt PW Brody
16.10.1928	01.12.1928	Instruktor kursu wychowania fiz.
02.12.1928	28.06.1929	52. pp. – pow. kmdt PW Brody
29.06.1929	09.08.1929	Grupa obozów PW – instruktor
10.08.1929	12.04.1930	52. pp. – pow. kmdt PW Brody

Oficerskie Karty Kwalifikacyjne Józefa Krupy dostarczają wielu informacji uzupełniających jego biografię.

Tabela 4. Opinie przełożonych

1921	Dowódca plutonu dobry, charakter wyrobiony, bardzo dbały o żołnierzy, obowiązkowy i pilny, wytrwały fizycznie, inteligentny, bystry umysł i spryt, duża inicjatywa, samodzielność i energia, dobry wychowawca i wykładowca.
1922	Duża ambicja pracy i osobista.
1923	Spokojny, zrównoważony charakter, uparty w dążeniu, silna wola.
1929	Powiatowy kmdt PW Brody dobry, wysokiej wartości moralnej, bardzo dobry organizator, w postępowaniu z podwładnymi wymagający i umie wyrobić posłuch.
1930	W ostatnich miesiącach zapadł na zdrowiu – choroba płuc.
1931	Umie dobierać ludzi do pracy, pracuje z zapałem, zaawansowany w chorobie płucnej, pozostaje na leczeniu.

Do istotnych spraw należą awanse wojskowe Józefa Krupy. Podporucznikiem został mianowany 17 października 1919 r., a porucznikiem 1 czerwca 1921 r. W 1930 i 1932 r. zostały złożone wnioski o awans dla Józefa Krupy na stopień kapitana, ale wobec złego stanu zdrowia i przejścia zainteresowanego w stan spoczynku w 1931 r., nie uzyskały one pozytywnej akceptacji. Dla uzupełnienia należy przytoczyć informację z Karty Kwalifikacyjnej za rok 1931, w której czytamy: „Objął stanowisko Powiatowego

Komendanta PW Brody przewidziane dla oficera w stopniu kapitana". Sentencja ta niedwuznacznie potwierdza faktyczne kwalifikacje Józefa Krupy do uzyskania stopnia kapitana.

Wśród dokumentów udostępnionych przez Centralne Archiwum Wojskowe odnajdujemy szereg dodatkowych informacji, także po zakończeniu służby wojskowej w 1931 r.

Służąc w armii austriackiej zdobył znajomość wielu krajów, takich jak: Austria, Czechy, Słowacja, Węgry i Ukraina. Znał język niemiecki. Posiadał następujące odznaczenia: Medal za Wojnę 1918–1921, Medal 10-lecia Niepodległości, Odznakę za odniesioną ranę. W roku 1937 toczyło się postępowanie w związku z wnioskiem o nadanie Józefowi Krupie Krzyża Niepodległości, ale z przyczyn proceduralnych wniosek został odrzucony.

Od 31 grudnia 1931 do 20 marca 1932 r. mieszkał w Nadwórnej bez zajęcia służbowego. Od 30 marca 1932 do 12 września 1934 r. pełnił funkcję komisarycznego kierownika gminy Rożnów (powiat Kosów, woj. stanisławowski). Oprócz zajęć czysto służbowych, pełnił w Rożnowie także kilka funkcji społecznych, takich jak: prezes Związku Strzeleckiego w Rożnowie (1933–1934), przewodniczący budowy kościoła w Rożnowie (1932–1934), przewodniczący Kółka Rolniczego w Rożnowie (1933–1934).

13 września 1934 r. objął funkcję wiceprezydenta Miasta Nowego Sącza, którą piastował do 5 września 1939 r., zamieszkując z żoną przy ul. Brodowskiej 4. Był także prezesem Powiatowego Zarządu Związków Rezerwistów Powiatu Nowosądeckiego (od 17 XI 1935), prezesem Koła Przyjaciół Harcerstwa na powiat Nowy Sącz (1935–1936), przewodniczącym Zarządu Ogrodów Działkowych w Nowym Sączu (od 17 III 1937), prezesem Stronnictwa Demokratycznego w Nowym Sączu (przed wybuchem II wojny światowej). Do kolekcji swoich odznaczeń wojskowych dołączył Złoty Krzyż Zasługi za pracę na rzecz Nowego Sącza.

W okresie od 6 września 1939 do 30 listopada 1942 r. – bez zajęcia – mieszkał w różnych miejscowościach, ukrywając się przed Niemcami, którzy ścigali go listami gończymi. Od 1 grudnia 1942 r. datuje się jego służba w partyzanckich oddziałach Batalionów Chłopskich, w tzw. Grupie Podolskiej, gdzie objął stanowisko dowódcy batalionu. 15 stycznia 1943 r. awansowany został na stopień kapitana przez płk. Bolesława Redlicha (który później – w 1945 – został zastępcą szefa Departamentu Mobilizacji i Uzupelnień Wojska Polskiego). Służbę Józefa Krupy w partyzantce przerwał jego pobyt w szpitalu dla chorych na płuca w Hołostoku k/Lwowa, do

którego trafił 14 marca 1943 r., gdzie przebywał do 14 września 1944 r. 16 września 1944 r. jako ochotnik wstąpił do Wojska Polskiego, zgłaszając się do Komendy Wojennej (Wojenkomat) we Lwowie.

W mieście tym przy ul Gundulica 17 przez ostatni okres wojny mieszkała jego żona – Kazimiera. Matka Józefa zamieszkiwała w Woli Skrzydlańskiej, ojciec już nie żył.

Józef Krupa po wstąpieniu do Wojska Polskiego w okresie od 21 września 1944 do 30 września 1944 r. pełnił funkcję pomocnika Szefa Oddziału Odznaczeń, Nagród i Awansów w WP. W okresie od października 1944 do 13 listopada 1944 r. był redaktorem „Kultury i Sztuki” w Wydziale Propagandy przy Głównym Zarządzie Wychowania Politycznego Wojska Polskiego. 17 listopada 1944 r. został komendantem Rejonowej Komendy Uzupełnień w Przemyśle, gdzie pozostawał do dnia 20 stycznia 1945 r. 28 stycznia 1945 r. został przeniesiony do RKU w Nowym Sączu na stanowisko komendanta.

W styczniu 1945 r. Józef Krupa wszedł w skład Miejskiej Rady Narodowej w Nowym Sączu. Jak napisał Julian Buda (*Dzieje miasta Nowego Sącza*, t. III, Kraków 1996): „Radni byli delegowani przez PPR, PPS, SL, Stronnictwo Pracy, organizacje wojskowe, związkowe i inne określone ustawą Krajowej Rady Narodowej”.

Józef Krupa zmarł 21 kwietnia 1945 r. na gruźlicę, z którą to chorobą zmagał się od początku lat trzydziestych. Został pochowany na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu przy ul. Śniadeckich (kw.12).

Dane zgromadzone na podstawie akt personalnych udostępnionych przez Centralne Archiwum Wojskowe w Warszawie, sygn.: AP-7847, KKiMN-50-15239, TAP-1148/32/52.

PIERWSZE DNI OKUPACJI NIEMIECKIEJ W NOWYM SĄCZU (WSPOMNIENIE NAOCZNEGO ŚWIADKA)

Pamięć ludzka zawodzi. Są wydarzenia, których nie pamięta się długo. Pewne fakty pamięta się jednak do końca życia. W roku 1939 byłem czternastoletnim chłopcem i gimnazjalistą, który zapamiętał do dziś, co wydarzyło się w Nowym Sączu 5 i 6 września tamtego roku.

Wrzesień 1939 r. był ciepły i pogodny, zwiastujący złotą polską jesień. Od początku roku istniała poważna groźba wojny z Niemcami hitlerowskimi. O tym mówiło się ze zgrozą wszędzie i nieustannie. Jedynie wiara w siły zbrojne Rzeczypospolitej i zawarte układy polityczne i wojskowe dodawała otuchy, że Polska jest w stanie oprzeć się spodziewanemu atakowi i stawić skuteczny opór wrogowi. Tak się jednak nie stało. Wehrmacht lepiej i nowocześniej uzbrojony, zmotoryzowany, rozpoczął 2 września „feldzug in Polen”.

Już w końcu sierpnia dwa niemieckie samoloty myśliwskie dotarły bezkarnie nad miasto ostrzeliwując z karabinów maszynowych dworzec PKP i opuszczone przez wojsko koszary przy ul. Piłsudskiego. Mieszkańców Nowego Sącza ogarnął strach. Dotkliwie odczuwano brak interwencji polskiego lotnictwa, na rzecz którego przed wojną ludność dobrowolnie się opodatkowała, łóżąc na fundusz Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwigazowej.

5 września w godzinach popołudniowych dał się usłyszeć od zachodu złowieszczy szum. Z okna mojego domu na Boconiu widać było fragment Beskidu Sądeckiego i dużą część miasta. Widoczne były wzgórza Wysokiego, a także Góra Chelmecka zwana Szcząbem albo Paścią Górą. Przede

wszystkim jednak widać było wyraźnie przez lornetkę całą serpentynę drogi od kościoła w Trzetrzewinie do prawie samych Biczyc. Po zachodzie słońca na drodze tej mogłem dostrzec długi sznur światel samochodów zjeżdżających w dół. Nie było żadnych wątpliwości, że inwazja niemiecka dotarła do Nowego Sącza i że w krótkim czasie miasto zostanie opanowane przez wroga.

Wieczorem z Góry Grabowa (gdzie często bywałem) odezwały salwy artyleryjskie, niewątpliwie polskie, co dodawało ducha. Pociski przelatywały dokładnie ponad moim rodzinnym domem przy ul. Na Rurach, kierowane w stronę Biczyc, tam gdzie stacjonowały wojska niemieckie przygotowujące się do zajęcia miasta. Po jakimś czasie w odpowiedzi dała znać o sobie artyleria niemiecka, bijąca w stronę Grabowej. A potem znów polska (widziałem trzy błyski, z czego wnoszę, że były tam trzy działa). Po krótkim pojedynku artyleryjskim, po kolejnej odpowiedzi niemieckiej, polskie działa zaprzestały ostrzału. Nastąpiła cisza. Można było sądzić, że nasza artyleria wycofała się w kierunku Januszowej, Librantowej, Korzennej, co potwierdziła moja późniejsza penetracja pierwotnej pozycji, gdzie widziałem doły po usytuowanych tam wcześniej działach. Doły te przez długi czas (nawet po wojnie) nie były zasypane. W niewielkiej odległości od pozycji artyleryjskiej stała jedynie uboga chałupa kryta strzechą. Obecnie jest tam całe osiedle nowych domów, ogrody i sady.



Inspekcja niemiecka w Chelmcu

Późnym wieczorem w rejonie Biczyc zostały wystrzelone przez wojska niemieckie czerwone i zielone rakiety. Był to prawdopodobnie sygnał przeznaczony dla oddziałów niemieckich podążających doliną Dunajca w kierunku Gołkowic.

6 września już nad ranem i przez cały dzień słychać było w mieście warkot motorów toczących się bez przerwy ciężkich aut przez ul. Piotra Skargi, Rynek i ul. Lwowską w kierunku Grybowa i Gorlic, a także w kierunku Naściszowej i Korzennej.

W godzinach rannych ul. Na Rurach przejechał niemiecki patrol wojskowy (trzech żołnierzy w hełmach na motocyklu z przyczepą). Była to penetracja peryferyjnych ulic miasta. Po raz pierwszy z okna domu zobaczyłem obce wojsko. Odważniejsi mieszkańcy miasta wychodzili ostrożnie na ulice, którymi ciurkiem przejeżdżały auta pancerne i ciężarowe pełne uzbrojonych żołnierzy. Wybrałem się wreszcie i ja (bez zezwolenia starszych) do Rynku, by obserwować toczącą się bezkarnie kawalkadę wojsk. Niemcy wyraźnie kpili sobie z krzątającej się ludności cywilnej. Stan ten trwał kilka dni, po czym ruch wojska zmalał.

Najazd niemiecki stał się faktem. Pozostała tylko nadzieja, że wkrótce nadejdzie kontratak. Ale do oczekiwanego wyparcia Niemców nie doszło. Dokuczał brak wiarygodnych informacji wojennych. Radio bateryjne, które mieliśmy w domu zamilkło. Warszawa milczała. Pocieszające wiadomości podawane z ust do ust były, jak się okazało, tylko płoną nadzieją. Zaczęły się lata mrocznej okupacji.

BŁOGOSŁAWIONY PRZEMYT

Najnowsza historia ujawnia wiele nieznanych faktów nielegalnego przekraczania granic. Warto przypomnieć, że również na naszym terenie (i to stosunkowo niedawno) praktyka ta była stosowana przez ludzi zaangażowanych w pomoc prześladowanemu Kościołowi w istniejącej do 1992 r. Czechosłowacji. Władze komunistyczne tego państwa w ciągu kilku dekad po II wojnie światowej drastycznie ograniczyły działalność duszpasterską, stosując różne środki i metody. Zamykano seminaria diecezjalne, klasztory, likwidowano szkoły i wydawnictwa katolickie, dokonywano licznych aresztowań duchownych i świeckich zaangażowanych w działalność religijną. To wszystko spowodowało, że Kościół w Czechosłowacji zszedł do podziemia. Cierpiał prześladowania, ale nie został zapomniany, m.in. dlatego, że w Polsce znaleźli się ludzie, którzy postanowili przyjść tamtejszym katolikom z pomocą.

Przewodnikiem grupy ludzi niosących pomoc Kościołowi w Czechosłowacji był ks. Stanisław Ługowski, obecnie proboszcz jednej z parafii na Słowacji. Na początku lat siedemdziesiątych jako kleryk spotkał się z młodymi studentami słowackimi, którzy opowiedzieli mu, jakie trudności przeżywa Kościół w Czechosłowacji. Po nawiązaniu kontaktów z naszymi południowymi sąsiadami, ks. Ługowski zapoczątkował organizowanie obozów dla studentów z Słowacji. Podczas tych spotkań okazało się, że istnieje na Słowacji ogromne zapotrzebowanie na literaturę religijną, dewocjalia, Pismo Święte, filmy religijne itp. Jednocześnie rozpoczął poszukiwanie ludzi, którzy mogliby zaangażować się w niesienie pomocy podziemnemu Kościołowi czechosłowackiemu bez względu na konsekwencje, jakie mogło nieść ujawnienie takiej działalności przez organy Służby Bezpieczeństwa PRL. Wśród tych, do których zwrócił się w 1971 r. ze swoją propozycją byli

Jana i Maria Bartulowie z Podegrodzia koło Nowego Sącza, zaprzyjaźnieni z księżmi Marianami.

Rodzina Bartulów odpowiedziała na prośbę ks. Ługowskiego i chętnie przyjmowała każdego kto powoływał się na znajomość z nim. Przez ich dom przewinęło się wielu współpracowników ks. Ługowskiego, przede wszystkim studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, którzy zatrzymywali się w Podegrodziu, by następnie przenieść na granicę polsko-czechosłowacką pakiety literatury religijnej. Do Podegrodzia książki przywożone były z Warszawy, a następnie przepakowywane do plecaków, które przekazywano na granicy z kurierom słowackim.

Jednym z doniosłych wydarzeń w życiu rodziny Bartulów były prymicie słowackiego kapucyna Petera Žaoludka. W 1982 r. został przeprowadzony przez zieloną granicę, przewieziony do Warszawy i wyświęconym przez arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego. Po tajnych uroczystościach w Warszawie i powrocie do Podegrodzia w domu państwa Bartulów ks. Piotr odprawił swoją pierwszą mszę prymicyjną, po czym został przeprowadzony z powrotem na Słowację. Kościołowi Słowackiemu przybył jeszcze jeden kapłan. W 1983 r. do współpracy przyłączył się syn państwa Bartulów – Paweł – wówczas uczeń Liceum Ogólnokształcącego w Starym



Prymicie ks. Pawła Bartuli, z jego lewej strony rodzice – 29 maja 1993 r.

Sączu, obecnie ks. katecheta w parafii Marcinkowice koło Nowego Sącza. Oto jak wspomina swoją działalność i tamten czas.

Moja przygoda z przenoszeniem ksiązek z Polski na Słowację rozpoczęła się w roku 1981, co nie oznacza, że od razu zostałem tragarzem szmuglującym przez granicę przedmioty kultu religijnego. Wówczas miałem zaledwie 14 lat i moim zadaniem było służyć do Mszy świętej ks. Stanisławowi Ługowskiemu, który przyjeżdżał do naszego domu w Podegrodziu wraz ze studentami. Z początku rodzice nie chcieli za bardzo informować nas, tzn. mieszkańców domu, co ci młodzi ludzie pakują do swych plecaków i w jakim celu wyjeżdżają w stronę gór. Jednak z czasem stało się to nieuniknione. Pamiętam wieczorne modlitwy w gościnnym pokoju w intencji udanego przerzutu, atmosferę napięcia następnego dnia, aby wszystko było w porządku.

Kiedy rozpocząłem naukę w szkole średniej, a zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego, moje poglądy stały się z natury rzeczy bardziej „dorosłe”. Po początkowym zastoju związanym z bezpieczeństwem, kontakty ks. Stanisława z naszym domem stały się ożywione. Szczególnie w roku 1983 moim marzeniem jako dorastającego chłopaka było wziąć udział w takiej akcji. W 1983 taka okazja nadarzyła się. Nareszcie dostałem propozycję, aby udać się w góry. Było to dość łatwe, gdyż uczęszczałem do Liceum Ogólnokształcącego w Starym Sączu, a było to po drodze z Podegrodzia do Piwnicznej. Na początku pilnowałem samochodu przy drodze na Piwowarówkę.

Przełomowym momentem był 12 grudnia 1983 roku, kiedy po raz pierwszy brałem udział w akcji. Śp. Antek Liptak nie mógł przybyć i dlatego zostałem poproszony przez ks. Stanisława o pomoc. Czekałem na to wręcz z utęsknieniem. W końcu mogłem przyczynić się do tego wielkiego dzieła. Oczywiście rodzice o tym nie wiedzieli, miałem wówczas 16 lat i byłem po prostu nieletni. Po zwolnieniu ze szkoły, dzięki wspaniałej mojej wychowawczyni Pani Helenie Domańskiej, pojechałem wraz z ks. Ługowskim i Konradem Baneckim do Piwnicznej. Najpierw Urząd Gminy i pozwolenie na wyjście w góry. Później droga, był mroźny grudniowy poranek. Po godzinnej wędrówce krótkie spotkanie na Piwowarówce, kilka słów i zejście w dół. Pamiętam słowa Ks. Stanisława: „Po raz kolejny udało się pokonać komunę”.

Tym razem było inaczej. Za kilka dni otrzymałem telefon do szkoły, nie wiem jakich argumentów użył ks. Ługowski, aby poproszono mnie do telefonu jako ucznia, bo nawet dzisiaj tego w szkołach się nie robi. W kilku słowach oznajmił mi, że mam zniszczyć „stare konserwy”, które zostawił w naszym domu. Było tam 20 tys. deklaracji Karta 77 dysydentów czechosłowackich i jakieś książki religijne. W tym momencie byłem wręcz przerażony. Zaraz



Od lewej: Peter Žaoludek, Konrad Banecki, Alojzy Gabaj, ks. Paweł Bartula,
Nitra 2001

zwolniłem się ze szkoły i z duszą na ramieniu udałem się do domu. Dręczyły mnie pytania, gdzie ukryć przechowywane w domu materiały. Nikt ze znajomych, a także najbliższa rodzina, nie wiedział o tym co dzieje się w naszym domu, poza tym były to materiały trefne jak na ówczesne czasy. Nie było wyjścia pozostał piec centralnego ogrzewania. Całą noc paliłem te materiały. Najgorzej było z Kartą 77, gdyż była drukowana na papierze brewiarzowym, który jest bardzo cienki i nie chciał się palić. Z początku miałem szczęście, ponieważ sypał śnieg, lecz nie całą noc. Kiedy wstałem ledwo żywy rano po nieprzespanej nocy byłem przerażony. Mieszkamy w centrum miejscowości i cały teren wokół domu w promieniu dwustu metrów był pokryty niedopalonymi szczątkami papieru, dosłownie było czarno na świeżym śniegu. Na niedopalonych kawałkach papieru było widać słowackie litery. Gdyby wówczas nastąpiła rewizja, to nie trudno byłoby domyśleć się jej wyniku. Po kilku dniach przybyła do nas z Lublina Anka Paszuda i poinformowała o zaistniałej sytuacji, tzn. że aresztowano Słowaków i nie wiadomo gdzie przebywają. Za kilka tygodni udałem się wraz z Józkiem Gąsiorem na granicę, aby szukać być może przerzuconych przez Słowaków plecaków. Z perspektywy czasu widać, że było to bardzo niebezpieczne. Po tym wydarzeniu nastąpiła przerwa w przerzutach.

W klasie III i IV Liceum Ogólnokształcącego wyjeżdżałem kilkakrotnie do ks. Stanisława do Góry Kalwarii, gdzie pracował. Miałem okazję poznać

ludzi zaangażowanych w działalność „Solidarności”, co dla młodego chłopaka z południa Polski było nie lada przeżyciem. Pomagało mi to kształtować poglądy na świat, polską rzeczywistość. Ci ludzie byli otwarci i dobrzy. W tej szarej rzeczywistości było to dla mnie bardzo budujące.

Kiedy rozpocząłem naukę w Studium Nauczycielskim, zacząłem często podróżować do Zakopanego. Rodzice pozwalali mi na te wyjazdy, wiedząc doskonale po co tam jeżdżę. Tatry Zachodnie były w miarę bezpiecznym zakątkiem, który pozwalał na przerzuty materiałów na Słowację.

Ekipy były z różnych rejonów Polski. Nysa, Opole, Głucholazy. W większości studenci, ale nie tylko. Ja szczególnie byłem związany z Jagodą i Antkiem Wróblem. Przez dwa lata kilkanaście razy, czasami z samego Chochołowa, szliśmy na nogach z ciężkimi plecakami aż na Rakoniu, który był głównym miejscem naszych wycieczek i zamiany plecaków. Przez ten czas spotykałem się też indywidualnie z Janem Hencowskim z Dolnego Kubina. Z nim umawialiśmy się pod Grzesiem.

Były to wyprawy radosne, ale z dreszczem emocji i skłamałbym, gdybym powiedział, że się nie bałem. Oczywiście nie cały czas. Ale nigdy nie można było być pewnym swego powrotu.

Podam tylko jeden przykład. Byłem umówiony z Jankiem Hencowskim na którąś niedzielę. Miałem odebrać materiały od Krzysztofa Matyjaszka z Rabki. Całą sobotę pracowaliśmy z Tatą naprawiając samochód marki Syrena model 105. Jakimś cudem, dopiero późną nocą awaria została usunięta. Ale był jeszcze jeden problem, samochody tej marki nie zawsze zamykały się. Ponieważ brałem więcej materiałów, potrzebowałem kogoś kto pozostałby w samochodzie zaparkowanym na Polanie Huciska. Poprosiłem mojego kolegę z Podegrodzia, Krzysztofa Bodzionego, aby wybrał się ze mną do Zakopanego na wycieczkę. Po drodze ogólnie wyjaśniałem mu cel naszej podróży. Po przybyciu na miejsce powiedziałem mu, że jeśli ma ochotę to może przeglądać sobie parę rzeczy, które pakowałem do plecaka. Nie zapomnę jego miny i słów po moim powrocie. Cały czas mówił: „Modliłem się, aby wszystko było dobrze”.

Pamiętam też kontrolę, jaką przeżyłem na dworcu w Nysie. Zmęczony podróżą z Podegrodzia do Nysy, gdzie czekałem na pociąg do Głucholaz, zasnąłem. Jakiś kapuś, który siedział na wprost mnie na poczekalni ściągnął milicjantów, którzy mnie skontrolowali. Dzięki Bogu, że dopiero jechałem po materiały, które odebrałem od ks. Stanisława w Głucholazach.

Były też pomyłki w umawianiu się co do spotkań. Raz spóźniłem się do Zakopanego. O 9.00 wyjechałem z dworca PKS taksówką, a o 11.00 byłem już na Rakoniu. Kto zna polskie Tatry, wie jaka to odległość. Sądziłem, że o tej właśnie godzinie jest umówione spotkanie ze Słowakami. Reszta

ekipy siedziała w schronisku na Polanie Chochołowskiej i czekali na mnie. O 13.00 zjawili się na górze idąc spokojnym krokiem. Byli zdziwieni, co ja tam robię. Sądziли, że nie mogłem przyjechać...



Spotkanie z kard. Jánem Chryzostomem Korecem Sl.
Tyłem ks. Stanisław Ługowski, obok Jan Bartula i ks. Paweł Bartula

Po latach na prymicjach ks. Pawła w czerwcu 1993 r., już w wolnej Polsce, gościli Słowacy, którzy przez lata spotykali się na granicy z ks. Pawłem. Podczas Mszy św. prymicyjnej podziękowali mu za pomoc Kościołowi podziemnemu na Słowacji. Światło dzienne ujrzała nieznana karta historii najnowszej.

JERZY MASIOR – CZŁOWIEK RENESANSU

*Trzeba napisać piękny wiersz – poeto
jeden jedyny piękny wiersz,
a to, co przedtem,
to co potem, to kalkomania...*

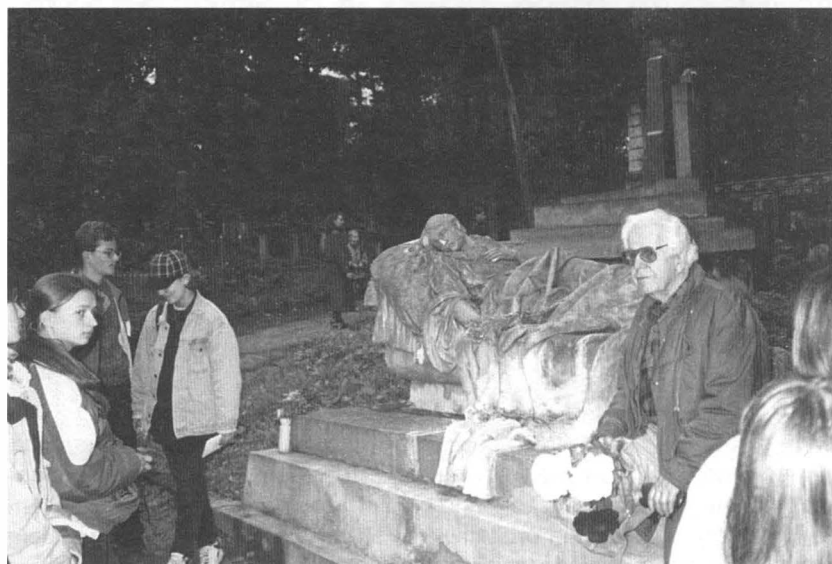
Jego życie można byłoby przedstawić za pomocą jego wierszy. Sam o swojej pasji tak mówił: „Wierszy nie pisywałem od samego początku, a więc wtedy gdy bywa się zakochanym sztubakiem, pędziwiatrem i bogoojczyźnianym harcerzem. To samo było u mnie z malarstwem. Z czasem te i inne zajęcia stały się orbitami, po których poruszałem się, szukałem przyspieszenia, miękkiego lądowania, światła nie bardzo postojowych”.

Rzeczywiście, znając go tyle lat mogę stwierdzić, że nigdy na tych światłach postojowych nie stał. Wciąż był zajęty, wciąż pracował.

Urodził się 7 lutego 1924 r. w Chodorowie koło Lwowa. Miał cztery lata, gdy rodzice postanowili przenieść się do Nowego Sącza. Wspaniałe, bez troskie lata swego dzieciństwa opisał w książce *Przetakówka*. Był wtedy uczniem Szkoły Podstawowej nr 1, popularnie zwanej „Mickiewiczem”. Lata gimnazjalne spędził we Lwowie, w którym przez jakiś czas zamieszkała jego rodzina. Miasto to oraz swoje wakacyjne pobyty w Dobrowlanach wspominał z wielkim sentymentem do końca swoich dni.

*Napisałem dziś dwa słowa
że pojadę znów do Lwowa.
Bo tam przecież znów być muszę
Lwów wciąż czeka
więc wyruszam*

We Lwowie zastała go II wojna światowa. Był żołnierzem Szarych Szeregów. W sierpniu 1944 r. został wcielony do szeregów Wojska Polskiego, służąc w nim jako łącznościowiec do lutego 1947 r. Przebywał na froncie na szlaku bojowym od Warszawy aż po Łabę. Został odznaczony Krzyżem Walecznych, Krzyżem Obrony Lwowa, w późniejszym czasie Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Krzyżem Zasługi.



Jerzy Masior z młodzieżą na Cmentarzu Łyczakowskim,
24 września 1996 r.

Po wojnie osiadł we Wrocławiu. Tam ukończył studia na Akademii Medycznej i do 1962 r. pracował we wrocławskiej klinice jako asystent i współpracownik prof. Edwarda Szczeklika. Tam poznał swoją żonę, z którą miał dwoje dzieci. Syna Krzysztofa i córkę Ewę.

W 1962 r. przeniósł się do Gorlic, obejmując w tamtejszym szpitalu powiatowym stanowisko ordynatora oddziału wewnętrznego. W 1967 r. powrócił do Nowego Sącza, do miasta swojego dzieciństwa. Na swoich spotkaniach z sądeczanami zawsze podkreślał: „Dziękuję swą miłość na dwa moje ukochane miasta – na Nowy Sącz i Lwów”.

W Nowym Sączu dał się od razu poznać jako wspaniały lekarz, humanista, społecznik. Stworzył i przez ponad 20 lat był kierownikiem Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Kadr Medycznych. Jako lekarz długie

lata pracował w lecznictwie kolejowym – miał plany budowania szpitala kolejowego. Utworzył Spółdzielnię Lekarską. Jako internista kierował Poradnią Internistyczno-Konsultacyjną. Uczył przedmiotów zawodowych w Liceum Medycznym. Przez półtora roku przebywał jako lekarz na kontrakcie w Iraku.

Zaraz po przybyciu do Nowego Sącza związał się z Polskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym Oddział „Beskid”, którego przez wiele lat był wiceprezesem. Szczególnie aktywnie działał w komisji żeglarskiej PTTK „Beskid”, piastując w latach 1967–1998 funkcję komandora Yacht Clubu w Znamierowicach, budując w tym czasie bazę noclegową i hangary. Był też inicjatorem budowy jachtu pełnomorskiego „Dunajec”. Warto dodać w tym miejscu, że przystań w Zamirowicach nosi dziś imię komandora Jerzego Masiora, dobrze służąc rozwojowi żeglarstwa na Sądecczyźnie.

Będąc kilka kadencji radnym Nowego Sącza, angażował się w wiele inicjatyw społecznych. Kochał swoje miasto, był jego dokumentalistą. Wierszem i rysunkiem utrwalał jego piękno.

(...)

*Gdzie Robinson Kruzoe z księgarni, od Pizy,
I gdzie ta z Przetakówki przedwieczorna cisza.*

*Gdzie Górka co na kredyt sprzedawał miesięczny
I jeszcze coś dla synka i jeszcze był wdzięczny.*

*Gdzie targi, te na Rynku, jak bukiety miasta,
Furmanki za ratuszem, z frontu tłum kopiasty.*

*Gdzie targu maślanego bab, panius hałasy
I wszystko co z obory, ogródka i z lasu.*

*I odpusty, odpusty u Ducha, u fary,
Kukulki i cugusy i koników pary...*

(fragment wiersza *Gdzie*)

Miał nadzieję na odbudowę zamku starościańskiego i dwukrotnie angażował się w podejmowane w tym celu inicjatywy.

(...)

*taki przystanek – westchnienie
takie tam przypomnienie
taki tam zamek króla
co się nad sobą rozczuła
a kamień stuka o kamień
bo rajcom zwietrzała pamięć.*

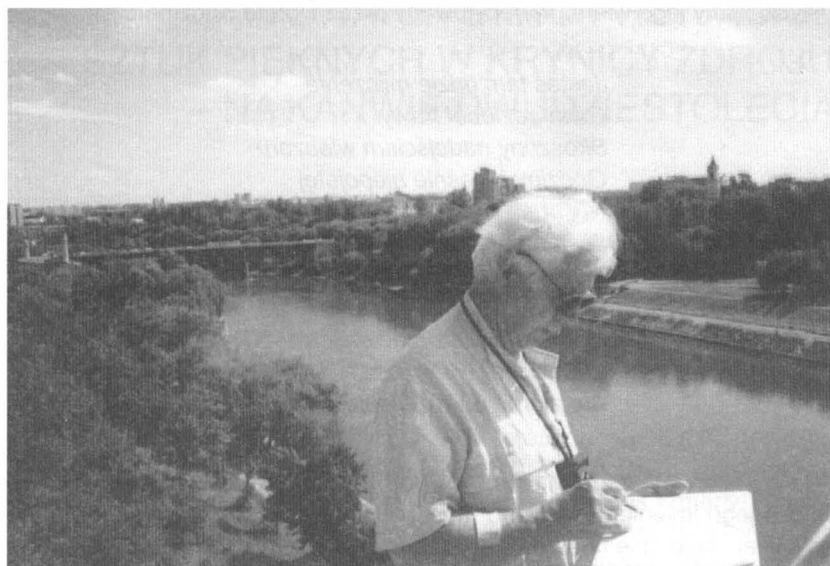
(fragment wiersza *Pamięć*)

Osobny rozdział w jego życiu stanowiła pasja malarska. Utrwalał pejzaże, zmienność przyrody, otaczające go piękno architektury. Doczekał się wielu wystaw indywidualnych, m.in. w Klubie Ziemi Sądeckiej, Muzeum Okręgowym, Biurze Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu, w Galerii Dudów w Jazowsku. Prezentował swe prace środowisku lwowskiemu we Wrocławiu. Swoje akwarele nazywał pieszczotliwie „swoimi dziećmi” i nie chciał ich sprzedawać, co najwyżej darował, najczęściej wtedy, gdy służyło to dobru jakiejś sprawy społecznej.



Benefis Jerzego Masióra – Willa „Marya”, 10 lutego 1994 r.

Rysunkami i akwarelami dokumentował swoje podróże. W 1989 r. założył Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, którego został prezesem. Od tego czasu wielokrotnie prowadził wycieczki sentymentalne po dawnych polskich obszarach wschodnich, zapoznając młodzież z mało znanymi wątkami dotyczącymi naszej historii kultury. Jednocześnie tworzył w szkołach sądeckich zespoły wokalne popularyzujące piosenkę kresową, współpracując w tej sprawie z Aleksandrem Porzucikiem. Czuwał nad młodzieżą przygotowującą się do udziału w Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Leszenie, gdzie wykonawcy z Nowego Sącza zdobywali czołowa miejsca, a w 2000 r. nawet Grand Prix.



Nad Niemnem

Dzięki jego staraniom Szkole nr 16 w Nowym Sączu nadano imię Orłąt Lwowskich. Przez jakiś czas współpracował z tutejszym Teatrem Robotniczy im. Bolesława Barbackiego, tworząc spektakle i koncerty poetycko-muzyczne. Za działalność na rzecz swojego miasta został odznaczony Tarczą Herbową Nowego Sącza, a od Związku Sądeczan otrzymał Order Przyjaznych Serc.

Pozostawił po sobie szereg tomików poetyckich, m.in.: *Chodzenie na wiatr* (1978), *Wzgórza w łagodność pochylone* (1981), *Arbuzy prawie erotyczne* (1985), *W Uhryniu i w okolicy*, *Z krwi i cieni*, *Leśne przypomnienia*

(1986), *Po drodze do Kamiannej* (1987), *Tyle Cię wszędzie* (1992), *Prefacje sądeckie* (1993), *Nasłonecznienie* (1996), *Czas bywa ciszą, Z Łyczakowa z bliska i z daleka* (1998), *Widnokreśli do powtórzenia* (1999), *33 wiersze stamtąd* (2002). W 1999 r. napisał jeszcze jeden tomik poetycki pt. *Lato na Litwie*, do czego zainspirował go dłuższy pobyt w Druskiennikach.

Swoje teksty prozatorskie publikował m.in. w czasopiśmie „Semper Fidelis”.

Wszystko to pozostawił nagle. Zmarł 19 kwietnia 2003 r. w Wielką Sobotę w wieku 79 lat. W dniu jego imienin – 23 kwietnia – pożegnały go na cmentarzu komunalnym przy ul. Śniadeckich tłumy sądeczan. Nad trumną usłyszeliśmy jego wiersz wyrecytowany przez Dorotę Kaczmarczyk.

*Jesteś tam gdzie milczenie
Gwar zdziebeł trawy
Skoszony nadejściem wieczoru
Godziny boleśnie niepojętej
Ni struną ni pieśnią
Jesteś po stronie milczenia
Męczony brakiem odpowiedzi
Choć od wszystkich pytań
Mógłbyś świat przewrócić
Wprawdzie tylko nasz
Ale z orbit wokół Ciebie.*

Po śmierci Jerzego Masióra w 2006 r. uchwałą Rady Miasta Nowego Sącza jego imieniem nazwano most na rzece Łubince w ciągu ulicy Tarnowskiej. Jego imię nosi również Izba Lwowska przy ul. Jagiellońskiej.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ SZTUK PIĘKNYCH W KRYNICY ZDROJU – NA KANWIE DWUDZIESTOLECIA

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krynicy-Zdroju obchodzi w bieżącym roku swoje dwudziestolecie. Fakt ten wydaje się być wystarczającym powodem do tego, aby przypomnieć w tym miejscu najważniejsze dokonania Towarzystwa, ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich pięciu lat, które w przeciwieństwie do okresu wcześniejszego nie zostały jeszcze opisywane ani w wydawnictwach lokalnych krynickich, ani regionalnych sądeckich.

TPSP w Krynicy-Zdroju powstało 15 listopada 1988 r., zrzeszając miejscowych entuzjastów malarstwa i rzeźby. Założycielem Towarzystwa i pierwszym prezesem zarządu był Juliusz Kołodziejczyk (zmarły 11 lutego b.r.), a jego najbliższymi współpracownikami: Anna Iwańska (sekretarz zarządu), Henryk Stryczek (skarbnik), do których w 1990 r. dołączył Julian Klamerus (wiceprezes zarządu) oraz Andrzej Piszczek (członek zarządu). Wybrany wówczas zarząd pracował przez dwie kadencje, do 1996 r., organizując w ciągu ośmiu lat swojej działalności szereg wystaw, z których najważniejsze to coroczne ekspozycje malarstwa i rzeźby w Krynicy, Tyliczu i Muszynie, a ponadto prezentacje tematyczne: „Zimowe Dni Krynicy, „Zima`94” (Krynica 1988 i 1994) oraz „VII Salon Zaproszonych” (Muszyna 1995).

Zasadnicze zmiany w składzie zarządu Towarzystwa zaszły na Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym 15 marca 1996 r., kiedy to na prezesa zarządu Towarzystwa wybrano Grażynę Petryszak, a na pozosta-

te funkcje w gremium kierowniczym: Barbarę Cichy (zastępca prezesa), Brygidę Schabowską (sekretarz), Henryka Stryczka (skarbnik), Dariusza Morawskiego i Andrzeja Piszczka (członkowie zarządu). Dalsze zmiany w zarządzie nastąpiły w 1997 r., kiedy to z powodu wyjazdu rezygnację złożyła Brygida Schabowska, zastąpiona przez Annę Jabłońską, oraz w wyniku kooptacji do władz Towarzystwa Celiny Kopackiej. W 2000 r. do składu zarządu wprowadzono Włodzimierza Obszarskiego i Ryszarda Pierzchałę, natomiast w 2002 r. Krzysztofa Mitręę.

W trakcie trzeciej kadencji, w latach 1996–2000, TPSP w Krynicy zintensyfikowało swoją działalność statutową, organizując wiele wystaw malarских, w tym kilkanaście zaliczonych do ważniejszych w historii Towarzystwa. Tak jak w poprzednich latach, wystawy prezentowano przede wszystkim w Krynicy-Zdroju (głównie w Pijalni „Mieczysław”, a także w Muzeum Nikifora), rzadziej w Muszynie (Biblioteka Publiczna oraz Muzeum Regionalne), a tylko jeden raz w Nowym Sączu, gdzie w 1997 r. w siedzibie „Civitas Christiana” odbył się wernisaż wystawy malarstwa i rzeźby pod hasłem: „Krynicyanie prezentują”. W tym czasie, ściślej w 1998 r., TPSP uzyskało dla swej działalności stałą siedzibę przy ul. Kraszewskiego 31, która stała się odtąd nie tylko miejscem spotkań organizacyjnych, ale przede wszystkim prezentacji twórczych, funkcjonując pod nazwą Galeria „Pod Kasztanem”. Należy podkreślić w tym miejscu, co znamienne i charakterystyczne, że Galeria „Pod Kasztanem”, prezentując twórczość malarską i rzeźbiarską członków Towarzystwa, stała się również swoistym krynickim Parnasem, skupiającym miejscowych poetów, jak również goszczącym znakomitych nieraz literatów czy szerzej ludzi kultury, przebywających bądź odpoczywających w uzdrowisku, nie stroniących przy tym od sympatycznych przeważnie, kameralnych spotkań z publiką wdzięczną, ukształtowaną w jakimś stopniu przynajmniej przez TPSP. Gośćmi Galerii byli m.in.: Bogdan Loeb, Adam Ziemianin, Henryk Cyganik, Józef Baran, Andrzej Stasiuk.

Wspominając działalność wystawienniczą krynickiego TPSP, nie można nie wspomnieć przy tej okazji o dość licznych zarówno w poprzednich latach, jak i obecnie wystawach indywidualnych. Zdając się w tym miejscu na ocenę wewnętrzną tzw. Klubu Twórczego Artystyczno-Literackiego, będącego częścią TPSP w Krynicy-Zdroju, a zarazem jego kościołem organizacyjnym, można w tym miejscu jedynie powtórzyć, że autorami ważniejszych prezentacji indywidualnych byli: Juliusz Kołodziejczyk – wystawy rzeźby (Muszyna 1996 i Tylicz 1998); Barbara Cichy – wystawy malarstwa: „Pejzaże Ziemi Sądeckiej” (Krynica 1998), „Pejzaże Muszyny II” (Muszyna

1999) oraz „Zimowe Pejzaże” (Muszyna 2000); Dariusz Morawski – wystawy malarstwa: Collage (Krynica 1997), „Język Geometrii” (Muszyna 1999); Grażyna Petryszak – wystawy malarstwa: „Spojrzenie zamknięte w ramach” (Kraków 1998), „Moje obrazy” cz. I (Krynica 2000), „Moje obrazy” cz. II (Nowy Sącz); Julian Klamerus – wystawy malarstwa: „Malarstwo z szuflady” (Stary Sącz 1999), „Malarstwo sakralne” (Nowy Sącz 2001), „Pojednanie czasu” (Rabka 2002); Wiesław Ciągło – wystawa malarstwa (Nysa 2000).

Istotne miejsce w działalności Towarzystwa zajmują również plenery malarsko-rzeźbiarskie. Członkowie TPSP w Krynicy-Zdroju brali w nich udział kilkakrotnie, odwiedzając w latach 1997–2002 Bartne, Tropie, Jaworki i Biecz.

Inne ważniejsze inicjatywy minionego piętnastolecia to wydanie i promocja antologii poetyckiej kryniczan *Przejdę po strunie światła* (2001), ozdobienie obrazami ścian Biblioteki Młodzieżowej w Czarnym Potoku (Lucyna Jaszczowska i Krzysztof Mitręga 2002), spotkanie członków krynickiego TPSP z artystyczną młodzieżą bułgarską (2003).

*

W 2003 r. – w piętnastym roku działalności TPSP w Krynicy-Zdroju – w skład zarządu Towarzystwa wchodziło osiem osób: Grażyna Petryszak (prezes), Barbara Cichy (zastępca prezesa), Anna Jabłońska (sekretarz), Dariusz Morawski (skarbnik), Celina Kopacka, Krzysztof Mitręga, Ryszard Pierzchała, Włodzimierz Obszarski (członkowie). W ciągu pięciu kolejnych lat skład osobowy zarządu w zasadzie nie ulegał zmianie, a jedyną jego modyfikacją było włączenie do gremium kierowniczego Towarzystwa (jako członka zarządu) Małgorzaty Machnikowskiej-Machnik. Dopiero niedawno, na ostatnim Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym, odbytym 22 stycznia br., doszło do nieco większych przetasowań personalnych, co spowodowane było wycofaniem się z prac w zarządzie Barbary Cichy (została honorowym wiceprezesem TPSP), skutkując równocześnie włączeniem w skład tego gremium Heleny Włoszczyny, jak również objęciem funkcji zastępcy prezesa przez Annę Jabłońską, a funkcji sekretarza przez Celinę Kopacką.

Rytm pracy krynickiego TPSP w ostatnich pięciu latach był stały, wyznaczony przez: comiesięczne spotkania Klubu Twórczego, kwartalne zebrania zarządu, prezentacje malarstwa i rzeźby, uczestnictwo w różnego

rodzaju ekspozycjach o charakterze otwartym, konkursy i plenery malarские, spotkania i wieczory autorskie, udział w przedsięwzięciach społecznych i charytatywnych, pracę nad wydawnictwami własnymi.

W ostatnim pięcioleciu – podobnie zresztą jak to bywało w latach poprzednich – najwięcej miejsca w działalności TPSP w Krynicy-Zdroju zajmowały wystawy malarstwa i rzeźby. Należy podkreślić, że aktywność Towarzystwa w tym właśnie zakresie, przynajmniej pod względem ilościowym, przedstawiała się imponująco, skutkując organizacją dwudziestu sześciu wystaw własnych (zbiorowych i indywidualnych), a nadto udziałem w różnego rodzaju prezentacjach na zaproszenie, a także plenerach i wystawach poplenerowych.

Ograniczając się do wymienienia niektórych tylko prezentacji własnych, warto w tym miejscu wspomnieć o takich ekspozycjach jak: „Wystawa Jubileuszowa XV-lecia” (Małopolskie Biuro Wystaw Artystycznych w Krynicy-Zdroju 2003), „Pejzaże i architektura Beskidów w malarstwie i rzeźbie” (Muzeum Ziemi Bieckiej 2004), „Światłem i kolorem” (MBWA w Krynicy-Zdroju 2004), „Drewniana architektura sakralna w pejzażu Beskidów” („Civitas Christiana” w Krakowie 2004), „Bez tytułu” (MBWA w Krynicy-Zdroju 2005), „Uroki Kazimierza Dolnego w malarstwie” (Sądecka Biblioteka Publiczna w Nowym Sączu 2005), „Zabytkowa architektura oraz pejzaże Beskidów” (Muzeum Nikifora w Krynicy-Zdroju 2006), „Na Spiszu i Orawie” (Muzeum Nikifora w Krynicy-Zdroju 2007), „Piękno prawdziwe II” („Civitas Christiana” w Nowym Sączu 2007).

Nadmienimy, że szczególną formę doskonalenia warsztatu artystycznego stanowił udział kryniczan w plenerach malarskich, m.in. w Jaworkach koło Szczawnicy, Prochowicach, Starej Lubowali, Kazimierzu Dolnym, Tyliczu, Nowym Sączu (Sądecki Park Etnograficzny), jak również coroczne uczestnictwo w organizowanych przez środowisko artystyczne Piwnicznej-Zdrój warsztatach poetyckich „Wrzosowisko”.

Ilościowemu bogactwu wernisaży malarskich dorównywała oferta wieczorów autorskich. Do najważniejszych w tym zakresie zaliczyć należy: prezentacje książek poetyckich Józefa Barana *Najdłuższa podróż* (2003) oraz Władysława Grabana *Znaleźć równowagę duszy* (2004), a także spotkania autorskie z Andrzejem Stasiukiem (2004 i 2007), ks. Markiem Godawą (2006 i 2007) oraz prof. Gabrielem Turowskim (2007).

Dodać należy, że prezentacji twórczości własnej towarzyszyło nierzadko uzyskiwanie przez poszczególnych członków krynickiego TPSP nagród i wyróżnień. Najczęściej, bo corocznie w latach 2003–2005 nagradzani byli

oni na wystawach pokonkursowych Małopolskiego Biura Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu. W wyniku organizowanych przez MBWA przeglądów nagrody i wyróżnienia otrzymali: Agata Broniszewska, Leszek Zygmunt, Małgorzata Machnikowska-Machnik, Juliusz Kołodziejczyk (2003); Agata Broniszewska, Grażyna Petryszak, Małgorzata Machnikowska-Machnik, Krzysztof Mitręga (2004); Małgorzata Machnikowska-Machnik, Krzysztof Mitręga, Małgorzata Dziadyk, Grażyna Petryszak (2005); Grażyna Petryszak, Celina Kopacka, Agata Broniszewska, Helena Włoszczyna (2006); Małgorzata Piątkowska, Celina Kopacka, Helena Włoszczyna, Małgorzata Dziadyk, Dariusz Morawski (2007). Wspomnijmy również, że w konkursie malarskim „Zabytki Muszyny, Krynicy i Żegiestowa” (2004) nagrody i wyróżnienia otrzymali: Wiesław Ciągło, Krzysztof Mitręga, Grażyna Petryszak, Małgorzata Machnikowska-Machnik oraz Barbara Cichy, natomiast w konkursie „Perelki architektury sakralnej” (2005): Barbara Cichy (I nagroda – wyjazd do Brukseli) oraz Małgorzata Machnikowska-Machnik.

Znaczący fragment działalności krynickiego TPSP stanowi praca wydawnicza, stawiająca sobie za cel promowanie twórczość literackiej członków Towarzystwa, jak również całościowe dokumentowanie aktywności wspomnianego wyżej Klubu Twórczego Artystyczno-Literackiego. Na tym polu aktywności TPSP może pochwalić się kilkoma wydawnictwami własnymi, przede wszystkim katalogiem wydany na swoje piętnastolecie, zatytułowanym: *Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krynicy-Zdroju 1988–2003* (2003), a także tomikami poetyckimi: *Nie dałam Ci jeszcze wszystkich pomarańczy* autorstwa Edyty Migas (2004) oraz *Ptaki tęsknoty* autorstwa Janiny Kumorek (2006).

Sympatycznym, świadczącym o prospołecznym nastawieniu członków TPSP w Krynicy-Zdroju rysem działalności był ich udział w inicjatywach służących dobru publicznemu. Obecność krynickich artystów nieprofesjonalnych w sytuacjach wymagających ofiarności uwidoczniła się niejednokrotnie, czego najlepszym przykładem przekazanie kilku obrazów na aukcję z przeznaczeniem jej dochodu na odbudowę zniszczonego przez żywioł zabytkowego kościołka w Tropiu (2003).

*

Powyższy syntetyczny zarys działalności TPSP w Krynicy-Zdroju nie oddaje całości i różnorodności form oraz działań tej zasłużonej i pożytecznej organizacji, która poszczycić się kilkoma prestiżowymi wyróżnieniami,

m.in. nagrodą „Kryształy Soli”, przyznaną Towarzystwu przez Marszałka Województwa Małopolskiego w dziedzinie kultury w 2005 r. Mając to na uwadze, tekst niniejszy potraktować należy jedynie jako sygnalizację żywej obecności krynickich twórców nieprofesjonalnych w życiu kulturalnym i społecznym swojego miasta oraz Sądecczyny, będący – jak należy sądzić – jedynie zapowiedzią pełnej całościowej monografii Towarzystwa, do wydanie której najlepszą okazją stanowić będzie nieodległy przecież, w pełni klasyczny jubileusz dwudziestopięciolecia TPSP w Krynicy-Zdroju.

Literatura i źródła

1. *Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krynicy-Zdroju 1988–2003*, ze wstępem Danuty Sułkowskiej, *XV lat PSP w Krynicy-Zdroju czyli o talentach i pasjach nie tylko twórczych*, Krynica 2003.
2. Sprawozdania z działalności Klubu Twórczego Artystyczno-Literackiego przy Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krynicy-Zdroju za lata 2003–2007, Archiwum TPSP w Krzynicy-Zdroju.



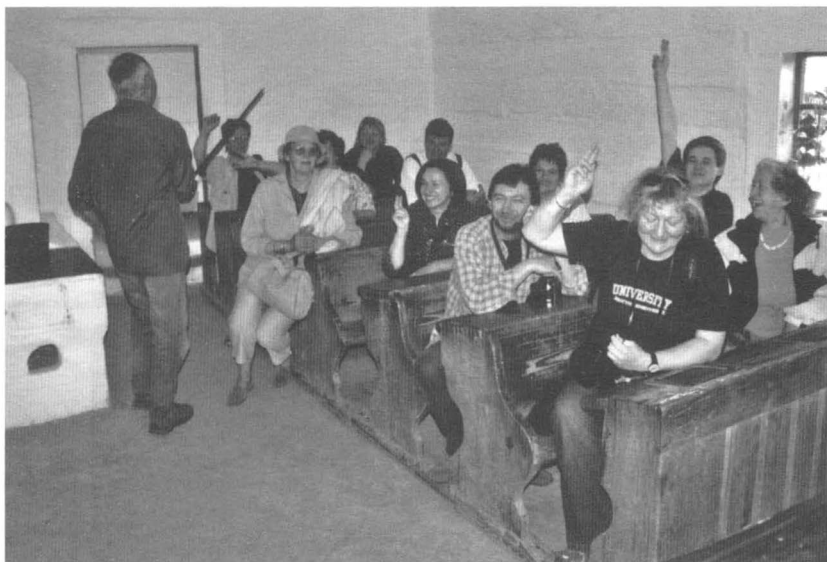
Wspólne zdjęcie artystów i przyjaciół Krynickiego Klubu Twórczego TPSP podczas jubileuszu XV-lecia – Galeria MBWA, 2003. Fot. archiwum TPSP



Spotkanie z Edytą Migas
– Galeria „Pod Kasztelem”, 2003. Fot. archiwum TPSP



Wernisaż wystawy „Pejzaże Krynicy i Muszyny” – Galeria „Civitas Christiana”
w Krakowie, 2004. Fot. A. Petryszak



Wizyta w skansenie w Sanoku, 2006. Fot. archiwum TPSP



Galeria „Pod Kasztanem”.
Spotkanie
z prof. Gabrielem Tarnowskim, 2007.
Fot. archiwum TPSP



Fot. archiwum TPSP



Wernisaż wystawy pt. „Zabytki Państwa Muszyńskiego”
– Muzeum Regionalne w Muszynie, 2006. Fot. archiwum TPSP

Justyna Sułkowska

Droga Mleczna pod mikroskopem

Widziana jako jasna smuga przecinająca niebo, jest Droga Mleczna zbiorem setek miliardów gwiazd, a wokół jednej z nich wiruje maleńka Ziemia. Oglądamy więc Galaktykę z wnętrza jej dysku, podobnie, jak na nasz własny świat patrzymy z jego środka. Patrzących są miliardy, a każdy z nich jest znów światem samym dla siebie... Od takiego właśnie odsunięcia perspektywy, będącego rodzajem przygotowania do wędrówki na najniższym poziomie zanurzenia – po świecie ciała ludzkiego, rozpoczyna swój najnowszy tom *Przez mleczną drogę* Paweł Szeliga.

Człowiek w tym świecie jest trochę jak wyspa – obserwowany w makroskali. Krajobraz jego ciała tworzą: „krater ust”, „głazy zębów”, „koso-drzewina zarostu” czy „wodorosty włosów”, a jednocześnie jest jego ciało genialną maszyną, „*perpetuum mobile*”, jak pisze autor. „Krew krąży po korytarzach (...) różowego ciała”, a „zegarmistrzowski młoteczek stuka (...) nerwowo”. A więc jest to człowiek sam sobie obcy, złożony z elementów, które wprawdzie działają, gdy się je złączy w mechanizm, ale jakby na siłę i z braku innego wyjścia. Tak mówi o tym bohater *krojenia przestrzeni*:

Moja lewa noga nie jest ze mną całością, moja prawa noga udaje tylko ciepłą kulę mięsa, ogrzewaną tym samym ciekłym życiem, co reszta kończyn. Kiedy wstaję, pukiel włosów opada mi na czoło. Chciałbym odrzucić go jak jadowitego węża, któremu udało się niespodziewanie podkraść na piknik, nie mogę jednak. Wtedy udowodniłbym sobie, że stanowią całość z tą magmą przypadkowych rzeczy jakie mam przy sobie (...).

Elementów ciała nie postrzega jego posiadacz, jako części siebie. Mówi o nich, jak o czymś przypadkowym, ale też nie są te elementy niezależne – widzi je zawsze w połączeniu z innymi. Są magmą, a więc stopioną, jednolitą masą, powstałą z cząsteczek różnego typu „materii”. Człowiek jest tu tyleż organiczny, co techniczny.

Ale taki obraz jest wciąż niepełny. Człowiek to nie tylko elementy natury, związane w mechanizm. Buduje go także materia innego rodzaju – materia pamięci – zarówno jednostkowej, jak i pamięci, by tak rzec, cywilizacyjnej czy kulturowej. Stojąc przy oknie, bohater wypatruje „antycznego owalu jej ramienia”. Kobieta ukazana jest na zasadzie *pars pro toto*, przy czym ta część, reprezentująca całość utkana jest z materii kultury. To świadomość pewnego ideału piękna, zaistniałego historycznie, daje pierwszy rys postaci. Sama **ona** pisze o sobie, że nie jest „tancerką Degasa”, ani „dziwką chorą na syfilis, z zarysu piersi której czerpał Toulouse-Lautrec chore inspiracje”. Tym razem przez zaprzeczenie, nie tylko formy artystycznej, ale też faktów z historii sztuki, dopełnia się portret bohaterki.

Ale to ciągle jeszcze nie jest wszystko. Bo człowiek, jak się okazuje, nie jest zamkniętym w sobie światem. Ta „magma przypadkowych rzeczy”, która tworzy luźną konstrukcję, jaką człowiek rozpęta się niezuważalnie, rozprzestrzenia i przenosi na inne przedmioty i istoty świata. W aromacie kawy wyczuć można pot „południowoamerykańskiego chłopca o palcach pokrzywionych artretyzmem”, skórka pomarańczy zawiera w sobie cząstkę „drugiej strony świata” – cząstkę „świata ciepła i słońca”. Jeden z bohaterów, myjąc się rano, tak rozmyśla:

W ten sposób tracę część siebie, mały fragment wczoraj, którym mogłem jeszcze chwilę żyć. Pozostaje tylko niewiadome dzisiaj.

Tymczasem człowiek spotkany na dworcu nie cuchnie, ale właśnie „pachnie całym światem”, bo przykleja się do niego lepka materia przestrzeni, której on nie zmywa pracowicie każdego dnia. Oddychając ostrożnie, bohater „krojenia przestrzeni” stara się nie wchłonąć zbyt szybko „powietrza wypełnionego jej istotą”, by móc delektować się dłużej dziejącą się chwilą. Po odejściu ona pozostawia po sobie zapach, szelest włosów, a to z kolei miesza się ze strzępkami „fabuł, obrazów, słów”, które wirują w przestrzeni pokoju, wraz z kurzem i wspomnieniami. Ma się wrażenie, że nic nie ginie, tylko przetapia się, wdychane, pochłaniane, wydalone, przenoszone na rękach i w myślach gdzieś dalej. Świetnie pokazuje to historia malarza z drugiego cyklu – *Przez mleczną drogę*. Z odcisku palca wyczytać można nie rysunek linii papilarnych, ale całą historię życia, jakby ciało

wydzielało jakieś ślady uczuć, emocji, wspomnień równie konkretnych, jak zapach, dajmy na to, zjedzonej niedawno cebuli.

Drugi cykl rozszerza przestrzeń, z ciała ludzkiego i przestrzeni pokoju w przestrzeń miasta. A tam dzieje się coś bardzo ciekawego. Tak jak ciało, pozornie spójne, rozbierane jest na kawałki, tak przestrzeń miasta – martwa i pokawałkowana, przeistacza się w żywy organizm z sercem w postaci lasu, z domem, przelatywającym wino w towarzystwie jednego z bohaterów, który wznosi ku niemu swe toasty. Ten dom jest jak ranny człowiek. Łuszczący się tynk jest jego ropiejącą raną. Podróżuje się po tym mieście w „grubym cielsku wagonu”, a więc jakby w brzuchu jakiegoś monstrum. Krawędź sandała tnie „żywą tkankę ulicy”, drażni żwir, którym pokryta jest alejka w parku, tak jak można podrażnić czy przeciąć skórę. To, co wydaje się martwe – ożywa. Mieszają się także role przypisane miejscom, jak w pradawnych czasach sanktuarium, miejscem sakralnym może być wszystko: dworzec jest kościołem, bar Parnasem. W „kliszach” świątynią jest sklep, lada ołtarzem ofiarnym.

Świat jawi się bohaterom Szeligi jako pewna przestrzeń – przestrzeń materii, czasu, pamięci i kultury. I, co ciekawe, jest to ciągle **ta sama** przestrzeń. Elementy oderwane od logicznej całości krążą w niej i przetapiają się w siebie, czy raczej przenikają, jakby były płynne. Pozornie rzeczywistość opiera się na porządku, obywatele tego świata, niczym mrówki zajęci swymi małymi zadaniami, żyją według pewnego rytmu, ale bystre oko potrafi zauważyć, że to, co zdaje się stanowić całość, rozpada się na kawałki, unoszące się w „galarecie” przestrzeni. Natura i kultura, materia martwa i organiczna, zwierzęcość i człowieczeństwo nie są stawiane na przeciwnych biegunach. Są zbudowane z tych samych elementów. Nie różnią się istotowo, ale, by tak rzec, optycznie czy ściślej – różnicę wykazuje badanie zmysłami, nawet jeśli przedmiotem badanym jest idea.

Ale owa przestrzeń to nie tylko jakieś odległe tło. Jest ona równoprawną bohaterką. Pojawia się jako konkret. Więcej – czasem jest nawet materialna, a przynajmniej tak ją postrzegają bohaterowie. W VI utworze z cyklu *krojenie przestrzeni* czytamy:

Idiotyczne jest to wykrawanie siebie z twardego gipsu przestrzeni, która uparcie oblepia mnie swoimi łapskami. Wykrawam się i wtapiam na nowo w bezbarwną masę. Skalpel moich palców stępił się po kilku operacjach, a laser odbijający się od wilgotnej gałki oka, tnie już tylko ulotny kożuch mgły, która przybija mnie swoim ciężarem do drewnianej podłogi.

A więc przestrzeń ma postać gipsowej zasłony, grubej warstwy, przyklejającej się szczelnie do wszystkiego. Gdzie indziej określana jest jako drgająca galareta błękitu, którą bocian tnije na równe kawałki. Kiedy indziej znowu jest gumową substancją, zatrzymującą człowieka w miejscu, żywą tkaną ulicy czy łąki, białym prześcieradłem, „ciszą ciężką jak betonowy blok uciskający czoło, gęstą roztworem bez dźwięku”. Jest to masa oblepiająca wszystko, amalgamat, zawierający zaczątek, czy też resztkę każdej rzeczy. Tytułowa Mleczna Droga także należy do przestrzeni, w której tkwi człowiek i z której sam jest utkany. Akt miłosny w cyklu *krojenie przestrzeni* opisany jest następująco:

Wysysam ją i wlewam się w nią. Jesteśmy mleczną drogą zagubioną gdzieś w nieprzeniknionych ciemnościach kosmosu.

Tak jak ludzkie myśli i materia ciała rozchodzą się niezauważalnie w powietrzu zapachami i wspomnieniami, tak też mogą się wtapiać w inne żywe ciała, coś z nich brać dla siebie i coś oddawać. Mleczna Droga to miliardy cząstek, które, nie tracąc swej różnorodności i indywidualności, są jednak masą, pewną całością. Poeta–bohater zdaje się stawiać sobie wciąż to samo zadanie – stara się wydostać z tej lepkiej substancji, uwolnić się, ale „idiotyczne (...) wykrawanie siebie z twardego gipsu przestrzeni” starcza tylko na chwilę i wymaga wysiłku lub dzieje się przypadkiem. Czasem „brązowa kreska jej uda” zdoła wykroić z tej warstwy dwa ciała, a czasem myśli po prostu przez nią przenikną. Taki moment ukazuje ostatni utwór z cyklu *przez mleczną drogę*. Bohater jakby wyzwala się spod tyranii czasu i grawitacji i w jednej chwili przemierza świat:

I oto przebijam się głową przez gumę mlecznej drogi. Przebiegam świat niczym powiew wiatru. Za moimi plecami targane podmuchem gną się przydrożne wierzby i krzewy dzikiej róży, a na nierówne płytki chodnika sypie się grad akacjowych gołębi.

Takie sytuacje są nieliczne i zazwyczaj czasu starcza tylko na to, by zdać sobie sprawę z istnienia tego ograniczenia przestrzeni. W dodatku uzyskanie takiej świadomości wymaga pracy, tymczasem większość ludzi ze swej mrówczej perspektywy nawet nie obejmuje całości zjawisk. Ci zaś, którym uda się wyrzeć poza codzienność, jak poeta–bohater dwóch pierwszych cykli, nie są w stanie uwolnić się całkowicie od tej przestrzeni, która jednocześnie ich stwarza i ogranicza. Skalpel palców łatwo się tępi, laser oczu traci moc po kilku próbach, a wycięty kawałek tkanki przestrzeni odrasta.

Mimo wszystko, takie właśnie nieliczne chwile krótkiego wyswobodzenia wyławia Szeliga. Zatrzymuje je i ogląda ze wszystkich stron, tak jak formy zakłète w skamieliny. Kiedy indziej utrwała zdarzenia i wspomnienia, jak na papierze fotograficznym, by móc wyluskiwać szczegóły, które zbyt łatwo umykają w pędzie, by nazywać uczucia i pragnienia, wcześniej nieuświadomione (klisze), czy wreszcie zatrzymuje film klatka po klatce i powoli opisuje etapy zmian. Przede wszystkim jednak zdaje się pokazywać chwile, w których można obserwować siebie z góry. Paradoksem jest to, że właśnie w takich momentach krótkiego wyswobodzenia się, najostrzej widzą jego bohaterowie swoje wtopienie, pochłonięcie przez magię przestrzeni.

Paweł Szeliga, *Przez mleczną drogę*, Katolickie Stowarzyszenie *Civitas Christiana* Oddział Małopolski, Kraków 2007, ss. 70.

Józef Wojtyga

**Sprawozdanie z robót odnowieniowych kościoła
św. Małgorzaty w Nowym Sączu
w latach 1939–1940**

*Materiał niniejszy został sporządzony
przez Józefa Wojtygę – upoważnionego
budowniczego w Nowym Sączu –
w grudniu 1942 r. Dokument przekazany
został Muzeum Okręgowemu w Nowym
Sączu przez p. Marię Serafińską-Domańską
– wnuczkę Józefa Wojtygi.*

Korzystając z ofiarności parafian postanowiono wykończyć roboty na zewnątrz kościoła, których przy poprzedniej restauracji nie zdołano wykonać.

Ogrójec. Na tylnej ścianie prezbiterium znajdował się jak zwyczajnie przy naszych kościołach ogrójec bardzo prymitywnie wykonany. Na murowanym postumencie, jakby mensie, umieszczona została figura klęczącego Chrystusa, a nad Nim unoszący się anioł z kielichem. Na ścianie

ślady kilkakrotnego malowania, mające służyć jako tło. Nad figurami wyżej, wprost na ścianie, przymocowany był krzyż z rozpiętym Chrystusem. Nad tym znajdował się daszek drewniany, prymitywnie wykonany i zupełnie zniszczony. Całość robiła bardzo niemiłe wrażenie, bo niezależnie od zniszczenia i opuszczenia, dziwnie wyglądały postacie klęczącego Chrystusa i wznoszącego się nad nim anioła, tak bez niczego przyklejone do ściany na zupełnie pustym i za dużym do tych figur tle.

Po rozebraniu daszku i ołtarzyka okazało się, że cały ten Ogrójec wykonany był w 1873 r. W ołtarzyku znaleziono zamurowane różne kawałki z rozebranych podczas poprzednich restauracji części kościoła – między innymi dwa słupki z czerwonego marmuru pochodzące prawdopodobnie z balustrady jaka była wówczas przed wielkim ołtarzem. Ślady wskazują, że między tymi słupkami była bramka i schody prowadzące w górę. Rzeźby są drewniane i pomalowane, wykonane przez Józefa Lorka, rzeźbiarza z Podegrodzia w 1873 r. Rzeźby są dobre z wyjątkiem postaci anioła, a zwłaszcza Chrystus na krzyżu jest dobrze wykonany. Rzeźbiarz Lorek wykonał w tym czasie w całej okolicy bardzo dużo rzeźb i przeważna część po kapliczkach przydrożnych i kościołach pochodzi z jego pracowni. Cały Ogrójec został zaprojektowany w obecnie wykonanej formie. Ze względu na małą ilość figur, które gubiły się poprzednio na dużym tle, zmniejszono samo pole Ogrójca przez wymurowanie dwóch filarów, na których wsparto dach. W Ogrójcu wykonano na tylnej ścianie krajobraz w formie płaskorzeźby pokolorowanej, który zaprojektował i wykonał artysta-rzeźbiarz Bogaczyk. Figury zostały odnowione, uzupełnione i na nowo pomalowane. Nad Ogrójcem wykonano daszek z drewna modrzewiowego, nakryty blachą. Nad daszkiem na ścianie umieszczono krzyż po odnowieniu rzeźby, nad krzyżem wykonano łukowy daszek z betonu. Balustrada została obniżona i uproszczona.

Całość zaprojektował i wykonał Józef Wojtyga. Roboty wykonano w lecie 1939 r.

Wieża południowa. Wieża ta jest bardzo słabej konstrukcji – wykonano ją z początkiem XVII w., o czym świadczy data wykuta w nadprożu drzwi wchodowych, a nadto lustracja odbyta w 1608 r. przez ks. Jana Januszowskiego, archidiacona sądeckiego. W swoim opisie powiada on, że po stronie południowej stała niegdyś wysoka wymurowana dzwonnica, lecz obecnie jest rozebrana, a dzwony umieszczone są w osobnej drewnianej dzwonnicy, stojącej na cmentarzu obok kościoła.

Po zniszczeniu kościoła podczas pożaru w 1611 r. kościół odbudowano i postawiono obecną wieżę na miejscu dawnej rozebranej. Wymurowano ją z kamienia łamanego o bardzo grubych murach, ale bardzo niedbale i niefachowo. Okna na wysokości piętra są bardzo duże, nadto mają silnie rozchylone ościeże. Otwory te zostały zasklepione dosyć płaskim łukiem z cegły (grubość cegły ok. 30 cm). Sklepienie to, za słabe, nie mogło wytrzymać olbrzymiej masy muru kamiennego nad nim się wznoszącego, do tego o bardzo luźnym wiązaniu. Toteż sklepienia te pod naciskiem ciężaru osiadły nieco i mur nad nimi leżący silnie się zarysował. Stan ten widocznie się pogarszał, kiedy założono dodatkowo ankry żelazne, opasujące od zewnątrz całą wieżę poniżej tych sklepień. Dla założenia ankier wykuto po stronie zewnętrznej bruzdy w murze, założono ankry i zamurowano.

Dla wzmocnienia wieży zaprojektowałem zmniejszenie otworów okiennych, ale w ten sposób aby nie zatracić charakteru istniejących okien. W październiku i listopadzie 1939 r. wykonano te roboty, zamurując otwory wedle planu z datą 14 czerwca 1939, z tym tylko, że nie wykończono ich zupełnie, a to z tego powodu, że nie zdecydowano czy dolną część wykonać w formie balkonu, czy też jako zwyczajną płytę gzymsową podokienną. Oprócz tego trzeba by wcześniej odnowić istniejące obramienie kamienne okien i wykonać zniszczony gzyms na wieży, który ma być skonstruowany jako nowe zankorowanie całości wieży.

W 1940 r. wykonano wyprawę tych wnęk okiennych oraz wstawiono drewniane żaluzjowe okna we wszystkie otwory obu wież.

Kruchta południowa. Kruchta ta jest jedną z nielicznych pozostałych starszych części kościoła, prawdopodobnie z XV i częściowo XVI w. Znajdowała się ona w stanie bardzo wielkiego zniszczenia i nosi ślady licznych przeróbek. Wedle znalezionych śladów nie pochodzi ona z czasów budowy kościoła, lecz została prawdopodobnie później dobudowana. Portal kamienny gotycki w ścianie prezbiterium był widocznie jednym z bocznych wejść – przy odkopaniu ziemi znaleziono dwa kamienne progi wchodowe silnie zużyte, które równocześnie określają poziom podłogi prezbiterium. W miarę podnoszenia się terenu przed kościołem, dano drugi próg wchodowy, nałożony na spodnim i ten ma ślady zużycia, co dowodzi, że był przez dłuższy czas używany, ale już jako wchodowy do kruchty. Później dobudowano kruchtę, następnie dobudowano nad nią na piętrze kaplicę pod wezwaniem św. Andrzeja, która również dawniej była sklepioną, ze schodami do niej prowadzącymi. W ścianie od zachodu wstawiono portal w stylu późnego gotyku. Portal ten w niedługim czasie zniszczono przez

ścięcie profilów, a to dla pomieszczenia drzwi. Drzwi te są zwyczajne z miękkiego drewna, bardzo prostej konstrukcji – mają na sobie wycięte napisy i wyraźną datę 1562 r. i napis na szpondzie od tyłu: MARTINUS KRUSZEŃSKI ANNO DOMINI 1687 DIX, po stronie zewnętrznej: KRO-SZOWSKY. Wedle znalezionych śladów dało się ustalić pierwotne profile, co w rysunku zostało odtworzone.

Portal w ścianie prezbiterium jest silnie uszkodzony, znać ślady gwałtownego wyłamania zamku. Uszkodzenia na razie uzupełniono sztucznym kamieniem, ale zachodzi potrzeba gruntownego uzupełniania i wymiany zniszczonych części, bo portal ten zasługuje na właściwe odnowienie jako jedna z nielicznych pamiątek z dawniejszych wartościowszych zabytków kościoła. W czasie obecnej roboty w 1940 r. nie można było tego uczynić z powodu braku odpowiednich robotników i materiału.

Kruchta ta była po stronie zewnętrznej zamknięta prowizorycznym murem, wymurowanym pod istniejącym gurtem. W ścianie tej znajdował się również portal kamienny gotycki o skromnym profilowaniu. Kruchtę tę wykonano wówczas tylko w szczupłych rozmiarach, nie chcąc prawdopodobnie zasłaniać okna z przyległej kaplicy po lewej stronie. Kaplica ta, obecnie nawa boczna, przylegała do głównej nawy kościoła po stronie południowej. Podczas wykonywania w 1913 r. sklepienia w tej bocznej nawie, okno to zostało odkryte i odtworzone. Po stronie północnej znajdowała się również podobna kaplica mająca okno w ścianie czołowej wschodniej, co wskazuje, że wówczas zakrystii w tym miejscu nie było, lub że była tylko niska kruchta czy sień wchodowa, nie zasłaniająca okna. Do kruchty południowej dobudowano następnie dalsze przedłużenie sięgające aż do lica w murze bocznej nawy, a ówczesnie kaplicy, na co wskazują mury fundamentowe znalezione w ziemi. Dla połączenia tej nowej kaplicy z dawną kruchtą wykonano gurt, a raczej dwa gurdy dla otwarcia połączenia między oboma częściami. Kaplica ta nowa zastąpiła okno kaplicy przy głównej nawie i wówczas widocznie okno to zamurowano, a dla oświetlenia kaplicy zaciemnionej wskutek zamurowania okna wykonano nowe okienko okrągłe, które widocznie sięgało ponad dach tej nowo powiększonej kruchty. I to okno zamurowano. Analogiczne okno znaleziono po stronie północnej, wychodzące nad dach zakrystii, ale o maswerku gotyckim. Gurt w ścianie południowej kruchty ma pewną osobiliwość, mianowicie jest silnie nadwieszony po obu stronach nad cokołem, bo o 35,5 cm, co wskazuje, że były jakieś trudności czy inny powód, dla którego nie można było podstawy tego gurtu zafundować w gruncie. Napis na kamieniu, jaki się dał odczytać, podaje nazwisko: BAR-TOŁOMEN LENT, prawdopodobnie Lentz.

Po pewnym czasie, zdaje się w XVIII w., w czasie gruntownego przerebienia kościoła, tę drugą przebudowaną kruchtę rozebrano, pozostawiając pierwotną, a pod zewnętrznym gurtym wymurowano ścianę zamykającą, umieszczając w niej portal wchodowy, przy czym kamienie łuku obcięto. Kruchta pierwotnie była zasklepiona sklepieniem krzyżowym o żebrach kamiennych, z których tylko pozostały reszty nad stopkami. Stopki pod gurtami bardzo zniszczone mają ten sam kształt co i w prezbiterium, a i w kościele klasztorным w Starym Sączu. Jedną z nich w południowo-wschodnim rogu wykonano na nowo. Na ścianie wschodniej znaleziono ślad malowania ściennego, wykonanego w bardzo dobrej technice. Zachowała się tylko drobna część od góry – część obramienia, kawałek nieba i u góry nad ramką dwa aniolki i data 1516, co można jeszcze rozpoznać na fotografii.

Posadzka w kruchcie została obniżona do wysokości podłogi w prezbiterium i wyłożona płytami czarno-szarymi, wykonanymi ze sztucznego marmuru. Ściany i sklepienia wyprawione. Ściana zamykająca od zewnątrz została po rozebraniu zewnętrznego gurtu i omurowań na nowo wykonana wedle projektu, przy czym dawny portal po najkonieczniejszym uzupełnieniu na nowo wstawiono. Po bokach portalu umieszczono dwa okienka dla oświetlenia kruchty. Całe zewnętrzne omurowanie ujęto w gzymsowanie wykonane w sztucznym kamieniu dla zaznaczenia charakteru portalu. W projekcie przyjęto skromną kompozycję, nie chcąc przez zbyt bogactwo zanadto podkreślać boczne wejście, przy zresztą bardzo ubogim wyglądzie kościoła. Nad kruchtą znajduje się kaplica bractwa, bardzo skromna, o drewnianym suficie. Okno zewnętrzne bardzo proste i surowe nie nadawało się do nowo wykonanego portalu – dano mu więc ostrołukowe zamknięcie, chcąc go więcej przystosować do wyglądu dolnej części.

Podczas roboty przy tym oknie odkryto, że w murze znajduje się jakieś pierwotne zamurowane okno o węgarach kamiennych profilowanych. Przy następnych robotach należy okno to odkryć i odtworzyć. W stryszku nad kruchtą widoczne jest dawne lico ścian prezbiterium, które były murowane i fugowane. Roboty te zostały wykonane w 1940 r., w czasie wojny, z dużym trudem. Roboty kamieniarskie wykonał Lesak, kratki w okienkach Józef Wójtowicz. W 1941 r. kruchta ta została pomalowana przez art. malarza Romualda Regulę.

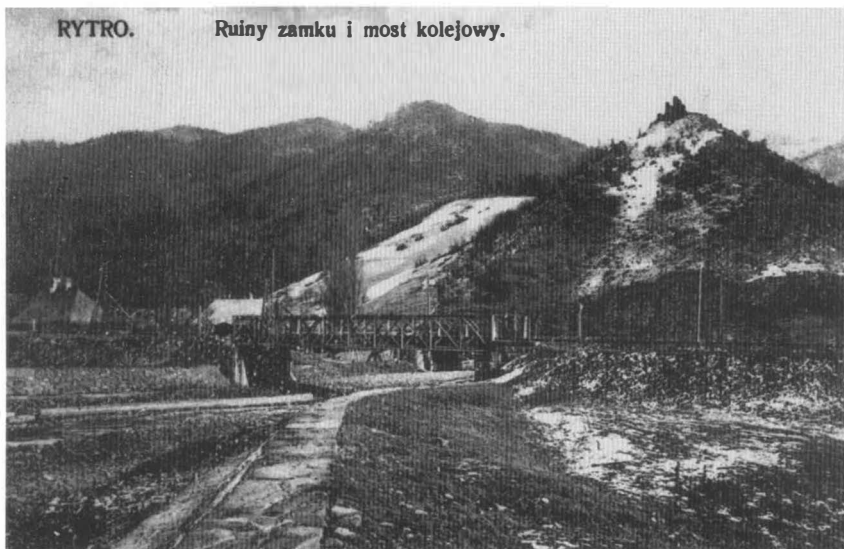


SPIS TREŚCI

ROBERT ŚLUSAREK Krótka historia obrazu i kult Matki Boskiej Pocieszenia w jezuickim kościele p.w. Ducha Świętego w Nowym Sączu	3
MARIA MARCINOWSKA O złowróżbnych malowidłach z dworu w nowosądeckim skansenie	9
JÓZEF GOŚCIEJ Dwór w Marcinkowicach i jego dawni właściciele	14
BOGDAN POTONIEC Nowosądeckie młyny wodne w XIX i XX wieku	24
LESZEK MIGRAŁA Poczet dawnych włodarzy Nowego Sącza w okresie autonomii galicyjskiej	43
ZBIGNIEW MACIEJOWSKI Gniazdo Sokoła w Grybowie (rys historyczny)	56
TOMASZ PODGÓRSKI Baca – rzecz o życiu i służbie gen. Józefa Gizy	60
MARIA LOREK Kapliczki, krzyże przydrożne i figury w Zawadzie, Nawojówce i Brzezinach	75
KAZIMIERA MORDARSKA-ŁAĞAN Z kroniki rodzinnej Mordarskich	88
JAN FUHRMANN Józef Krupa (1899–1945)	100
EUGENIUSZ RUŻAŃSKI Pierwsze dni okupacji niemieckiej w Nowym Sączu (wspomnienie naocznego świadka)	106
ALICJA GRZESIK Błogostawiony przemysł	109
ANNA TOTOŃ Jerzy Masior – człowiek renesansu	115
LESZEK MIGRAŁA Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krynicy-Zdroju – na kanwie dwudziestolecia	121
Listy, opinie, RECENZJE, dokumenty	131

RYTRO.

Ruiny zamku i most kolejowy.



Muszyna



